Artysta Pisarz
przedstawia

***

Przedstawiona tu treść nie jest opowieścią fabularną, w której śledzić będziecie losy postaci, ich przygody i zwroty akcji. Jest to narracja atmosferyczna, której celem jest przeniesienie Was w inne miejsce i inny czas, zanurzenie Was w nastroju innego świata. Pamiętajcie też, że jeżeli przyjdzie wam do głowy obejrzeć niniejszy materiał wideo siedząc w wannie (co może się wszak zdarzyć), musicie zachować szczególną ostrożność, gdyż wasze urządzenia elektroniczne nie lubią się za bardzo z wodą.

***

Uwaga o treści: niniejsze dzieło zawiera liczne odniesienia do alkoholu, broni, przemocy i przestępczości, a także odniesienia do modyfikacji ciała i zabiegów medycznych. Odniesienia mają postać wyłącznie narracyjną (brak komponentu graficznego), utrzymane są w lekkim, humorystycznym tonie i mają charakter komiksowy.

***

Istnieją takie miasta, w których, jak by się zdawało, zawsze panuje noc i deszcz nie przestaje padać całymi latami. Miasta, gdzie kolejne, coraz wyższe i wyższe wieżowce przeganiają się raz po raz w odwiecznym, toczonym w tempie migracji lodowców wyścigu o to, kto pierwszy przebije swym czubkiem szarawą powłokę ponurych chmur. Miasta, których mieszkańcy wieczorami, rozłożeni leniwie przed szklanymi ekranami telewizorów, nie słyszą za swymi oknami niczego innego, jak tylko szum automobili tłoczących się na węższych i szerszych asfaltowych drogach, pobzykiwanie neonowych znaków, wycie policyjnych syren i bębnienie deszczu. Miasta zbrodni, w których przestępcy są śmieli niczym herosi a policja tchórzliwsza od myszy i wiecznie, wiecznie niedofinansowana. Miasta, których ulicami błąka się mieszanina zapracowanych poczciwców, kryminalistów, bezdomnych i tych, którzy dawno już przekroczyli granice obłędu. Miasta, w których żyją prawdziwe monstra,

miasta pełne miejskich legend, w świecie których jedynym światełkiem nadziei są ci dzielni i niezrównoważeni zarazem obywatele na tyle szaleni, by przywdziewać na siebie dziwaczne stroje i zwać samych siebie mścicielami. Miasta będące areną niekończącej się walki Dobra ze Złem.

To nie jest opowieść o tej walce. Inni powiedzieli już na ten temat wystarczająco dużo. To jest opowieść o jednym z tych, dzięki któremu i ci dobrzy, i ci źli mogą tę walkę dalej toczyć. Albowiem, wierzcie lub nie, w jednym z takich miast, w pewnej niewyróżniającej się niczym ciemnej alejce, takiej samej jak tysiące innych ciemnych, podejrzanych alejek, ten, kto wie, czego i gdzie szukać dotrzeć może krętą drogą do pewnego sekretnego sklepu, wielce cenionego przez wtajemniczonych. Ten, kto dzięki swej zręczności i sprytowi dotrze na sam szczyt starej, pordzewiałej rynny biegnącej wzdłuż jednej z pradawnych ceglanych kamienic, ten zawsze niemal znajdzie tam to, czego akurat najbardziej w danej chwili potrzebuje. Już z daleka powita go charakterystyczny zielony neon w kształcie kaczki. I to będzie dla niego znak, że oto dotarł do sklepiku „U Mallarda".

To jest opowieść o sklepikarzu.

„U Mallarda”

pióra Macieja Hieronima
Jemioła

Część I. O olbrzymach i mniejszych rasach

Ci którzy są od nas starsi stworzyli ten świat.
My tylko w nim żyjemy.

Olbrzymi są fascynującą rasą. To oni stworzyli to miasto, i inne podobne mu miasta. Oczywiście, działo się to przed wiekami, w czasach, których nikt już dzisiaj nie pamięta. Olbrzymi są rasą srogą i potężną, trudną do zrozumienia. To oni wznieśli pnące się pod niebo kamienne budowle. Najważniejsze jednak, że mimo swej starożytności, mimo swej potęgi i swej niepojętości olbrzymi są również pokojowo nastawieni do wszelkich mniejszych ras – szczurowców, myszaków, wiewiórаków, żabulców, kreterów, gołębów, wydrali... Mniejsze rasy od zawsze, jak uczy nas historia, żyły w ich cieniu, w opuszczonych przez nich i niedokończonych konstrukcjach, w pustostanach, w szparach między ich ścianami, w wydrążonych przez nich kanałach ściekowych... I zawsze były przez nich tolerowane, oczywiście o ile nie wchodziły im w drogę i nie błąkały im się pod stopami.

Typowy olbrzym jest to rosła istota o bardzo topornym kształcie, z reguły wysoka na jakieś piętnaście metrów. Ma porowatą, kamienistą skórę, która na pierwszy rzut oka nie daje się odróżnić od zwykłej, nieożywionej skały. Przypominając z wyglądu obelisk bądź inny kamienny monument nie ma wcale nóg, lecz sięgający ziemi tułów, porusza się za to za pomocą ukrytego pod jego posadą organu przypominającego swym kształtem samoczynnie przewalającą się do przodu bądź na inne kierunki kupę żużlu. Ma również dwie wyrastające z jego tułowia ręce z chwytnymi palcami słynącymi z niezwykłej precyzji wykonywanych ruchów. Olbrzymi nie mają co prawda głowy, mają natomiast twarze, które wyrastają im z frontowej powierzchni górnej części ciała i są niemal zupełnie płaskie. Ponieważ są bardzo do sie-

bie podobne przedstawiciele pomniejszych ras mają z reguły bardzo duże trudności w odróżnianiu olbrzymów od siebie.

Tym, co przede wszystkim dzieli tych kamiennych gigantów od mniejszych ras nie jest jednak nawet ich rozmiar, jakieś osiem razy większy od przeciętnego wiewióraka i niemal dziesięć od przeciętnego myszaka. Nie, tym, co ich odróżnia przede wszystkim jest tempo życia. Podczas gdy mniejszym rasom olbrzymy wydają się być stworzeniami niezwykle wręcz powolnymi, każdy ruch wykonującymi z nużącą ociężałością, bez choćby oznaki pośpiechu, dla olbrzymów żabulce, wydrale i im podobne istoty poruszają się niemożliwie szybko, w kółko gdzieś pędzą i nierzadko tworzą tylko rozmyte smugi w ich polu widzenia. Jest to różnica zasadnicza, która uniemożliwia prawie zupełnie jakiekolwiek interakcje kulturowe między tymi dwoma grupami.

Olbrzymi nawet mówią bardzo powoli. Ich język jest dokładny, składa się z bardzo wielu bardzo krótkich słów, w dużej części pojęć technicznych. Mimo to brzmi on jak spowolniony bełkot dla przedstawicieli mniejszych ras i choć już od kilkudziesięciu lat umieją się oni w teorii nim posługiwać, w praktyce do takich konwersacji dochodzi bardzo rzadko, gdzieś na wysokim szczeblu rządowym, na giełdzie, konferencji naukowej bądź synodzie ekumenicznym.

Oczywiście nie możemy zapominać, że ten świat należał w pierwszej kolejności do olbrzymów i to właśnie pod nich jest urządzony – cykl dnia i nocy, choć obecny, rozciągnięty jest w czasie. Pojedyncza noc przedstawicielom mniejszych ras zdaje się ciągnąć w nieskończoność i składa się na wiele serii snu i jawy. Nieco pomaga jednak fakt, że w tej ponurej metropolii dzień nie różni się wcale tak mocno od nocy, tyle że zamiast ciemności panuje ogólna szarzyzna. Deszcz dalej pada, chmury dalej pokrywają firmament. Słońce, ten rzadki gość, zdradza swoją obecność jedynie raz na wiele, wiele dni, co wśród mniejszych ras zawsze jest okazją do świętowania, z góry zapowiedzianą dzięki wysiłkom meteorologów.

Powiadają, że w zamierzchłych czasach, kiedy większość wieżowców nie została nawet jeszcze wzniesiona, a olbrzymi nie wynaleźli jeszcze wielu swoich sprytnych wynalazków, przedstawiciele mniejszych ras żyli między nimi jako zwykłe, pozbawione inteligencji szkodniki, wyjadając ich śmieci i nawet nie mówiąc za nie zwyczajowego „dziękuję". Olbrzymi zastawiali na nich pułapki i szkolili straszliwe be-

stie, takie jak kotołaki i psożercy, by te na nich polowały. Dziś bestie te znane są jedynie z bajek dla niegrzecznych dzieci, natomiast faktem pozostaje, że mniejsze rasy musiały ewoluować w świecie zamieszkanym przez olbrzymy i to właśnie u nich podpatrzyły wiele fundamentalnych dla siebie rzeczy, od inteligencji, tożsamości osobowej i posiadania kultury oraz języka poczynając.

Wszystkie wielkie osiągnięcia techniki mniejsze rasy zawdzięczają olbrzymim wynalazcom, na tyle dobrotliwym, że dzielącym się z nimi bez żadnych dodatkowych kosztów tym, co udało im się samemu opracować. I tak szczurowcy, wydrale i wszyscy ich krewni w tak krótkim z punktu widzenia rozwoju cywilizacji okresie przeszli od prymitywnego społeczeństwa zbieraczy-łowców do świata zdominowanego przez automobile, telefony i telewizję. Był to, trzeba przyznać, przeskok z punktu widzenia ewolucji dosyć nietypowy w swej gwałtowności, toteż być może to właśnie on spowodował, że wśród mniejszych ras tyle jest dziś skłonności do przemocy i zbrodni.

Olbrzymi prawie w ogóle zbrodni jako czegoś na porządku dziennym nie znają, może poza okazjonalnym wyniesieniem z biura paczki ciasteczek należącej do kolegi bądź ewentualnie czegoś większego, np. saturatora. Oczywiście zdarzają się wśród nich również te bardziej poważne, tragiczne przypadki – rozboje, pobicia, morderstwa – natomiast dzieje się to nieproporcjonalnie rzadko w stosunku do mniejszych ras, z reguły jakiś tysiąc razy rzadziej, zaś przestępczości zorganizowanej olbrzymi nie znają niemalże w ogóle. Moment, w którym pewien pijany w sztok kreter zamordował po brutalnym pojedynku pewnego przedstawiciela rasy gigantów, który jak się zdaje krzywo na niego spojrzał, był wielkim wstrząsem dla społeczności olbrzymów w całym mieście. Dla mniejszych ras natomiast był to wtorek jak każdy inny.

Dzisiejszy świat w niczym nie przypomina już tego sprzed setek lat. Jest światem koegzystencji, w której dwie tak liczne grupy – olbrzymi i mniejsze rasy – nie bez trać i trudności żyją ze sobą we względnym pokoju. Owszem, czasem jakiś myszak zostanie przez przypadek zgnieciony przez nieostrożnego olbrzyma, innym zaś razem jakaś dobrze zorganizowana banda szczurowców wykradnie nocą telewizor olbrzymich rozmiarów żeby zrobić sobie z niego kino domowe, niemniej zazwyczaj losy tych dwóch grup mieszają się ze sobą tylko pobieżnie. Długotrwałe znajomości

między przedstawicielami tych dwóch społeczności są rzadkie, a przyjaźnie jeszcze rzadsze i zazwyczaj mają charakter jedynie korespondencyjny. Międzygatunkowe romanse są jak na razie nie do pomyślenia.

Olbrzymi mają też przedziwny stosunek do wspaniałej sagi walki Dobra ze Złem, jaka toczy się każdej nocy wśród mniejszych ras. Z jednej strony idee herosa i złoczyńcy są ich kulturze jak najzupełniej obce i często postrzega się je jako chaotyczną, niepojętą krzątaninę, z której istnienia osoby dobrze wychowane powinny sobie co najwyżej zdawać sprawę. Olbrzymi nie słyną z wielkich wojen i opowieści o bohaterach, ich dzieje to historia powolnego społecznego progresu zapełniona przydługimi nazwiskami reformatorów, polityków i działaczy społecznych, a nie królów, dowódców wojskowych i świętych. Z drugiej strony jest coś nieodmiennie fascynującego w tym motywie, w tej wielkiej rywalizacji sił sprawiedliwości z siłami nieprawości; do tego stopnia, że nawet olbrzymi okażą od czasu do czasu zainteresowanie. Ich stacjom telewizyjnym zdarza się prowadzić kąciki poświęcone temu, który zamaskowany wiewiórak przyskrzynił minionej nocy którego mafijnego bossa albo który szalony żabulec groził, że wysadzi w powietrze aż dwie przecznice (bo wszak całemu miastu nikt i nic nie byłoby w stanie zagrozić). No i nie można też zapomnieć o poświęconym poczynaniom herosów z mniejszych ras ilustrowanym książeczkom, bardzo popularnym zwłaszcza wśród młodszego pokolenia skalnych gigantów.

Wszystko to pozwala nam lepiej zrozumieć, dlaczego w świecie tym może istnieć tak nietypowe miejsce, jak prowadzony przez pewnego kaczeńca sklepik mieszczący się w starej, pordzewiałej rynnie nad ruchliwą alejką.

Część II. Kaczeniec imieniem Mallard

Sklepik, w którym każdy znajdzie to,
czego tej nocy szukał.

Stosunkowo niewielka część zainteresowanych wie o istnieniu tego miejsca, i Mallard wolałby, żeby tak pozostało. Nie postrzega siebie jako sprzedawcy hurtowego, gotowego zaspokoić potrzeby masowych odbiorców. Przeciwnie, ceni sobie swoją reputację jako swego rodzaju kolekcjonera prowadzącego lokal dla elity,

o którym dowiedzieć się można tylko jeśli jest się kimś naprawdę zaufanym. Woli stanowić pilnie, zazdrośnie strzeżony sekret swoich klientów, o którym wahają się oni szepnąć choćby i swoim najbliższym – żonom, mężom, partnerom, partnerkom i kochankom – nawet we śnie. Nie reklamuje się nigdy, jego jedyną reklamą jest jego słynny zielony neon w kształcie kaczki. Gorąco wyznaje zasadę marketingu drogą poczty pantoflowej. Gdy każdego swojego klienta zna i rozpoznaje już z daleka, gdy nie ma ich wcale tak zbyt wielu, wtedy wszystko jest, jego zdaniem, najzupełniej w porządku. I tak właśnie jest zazwyczaj.

Droga do sklepiku tego starego kaczora nie jest zbyt łatwa dla zwykłych śmiertelników. Rynny, choć w bardziej zaludnionych częściach miasta rzeczywiście czasem wykorzystywane przez mniejsze rasy w charakterze ulic, są jednak z reguły miejscem notorycznie niebezpiecznym. Owszem, faktem jest, że w okolicy portu pewna sporych rozmiarów rynna przy magazynie rybnym od kilku już dekad służy w charakterze popularnego targowiska, ale ten zabytek jest dobrze zabezpieczony dodatkowymi wspornikami i otoczony siatką oraz płatanina płóciennych dachów, co sprawia, że paradoksalnie nie spełnia już swojej funkcji jako rynna. No i można doń wjechać windą. Są też inne przykłady – część celebrytów wśród mniejszych ras kazało sobie wykonać apartamenty wewnątrz masywnych gargulców zdobiących zwieńczenia najwyższych miejskich wieżowców, ale choć brzmi to ekstrawagancko i atrakcyjnie, to w rzeczywistości mieszkania te muszą być raczej niepraktyczne. Generalnie miejskie rynny zarezerwowane są dla tych, którzy próbują się ukryć w trudno dostępnym miejscu, jak wszelkiej maści przemytnicy, poszukiwani zbiegowie i właściciele nielegalnych kasyn, oraz, rzecz jasna, dla najbiedniejszych, których najzwyczajniej w świecie nie stać na wynajęcie czegoś pod lepszym adresem.

Ta konkretnie rynna w której mieszka Mallard, znajduje się w jednej z wąskich (wedle standardów olbrzymów) wewnętrznych alejek blisko historycznego centrum metropolii, u zwieńczenia czteropiętrowej kamienicy z czerwonej cegły. W tej samej rynnie co jego sklepik znajdują się tylko dwa inne lokale mieszkalne, na szczęście bardzo cywilizowane. W pierwszym z nich mieszka sympatyczna rodzina wydrali z piątką dzieci, która bardzo rzadko schodzi na poziom ulicy, gdyż głowa rodziny i tak zarabia pracując na dachach. Drugie mieszkanie należy z kolei do emerytowanego profesora lingwistyki, sędziwego kretera, który po odejściu w niesławie z miej-

skiego uniwersytetu postanowił odciąć się od wszystkich dawnych znajomości i zaszyć się gdzieś, gdzie nie znajdzie go żaden dawny kolega po fachu. Mallardowi bardzo odpowiadają tacy sąsiedzi.

Z poziomu ulicy jedyna bezpośrednia droga na górę rynny z zewnątrz budynku wiedzie przez samą rurę spustową. Lata temu jakaś poczciwa dusza zostawiła w jej wnętrzu szlak wspinaczkowy, stosując w ramach uchwytów dobrze wbite w grubą blachę sztylety. Oczywiście wspięcie się jakieś sto pięćdziesiąt metrów w górę rynny tym szlakiem jest wyczynem nie do wykonania dla zwykłych obywateli nawet w te dni, w których deszcz nie pada a woda nie spływa w dół rury wartkim strumieniem. Natomiast dla tych jednostek, które cechują się nadzwyczajną zręcznością i sprawnością fizyczną, a które lubią się określać mianem bohaterów jest to ledwie przebieżka, lekka niczym letni spacerek. Istnienie tej drogi i tego szlaku jest wyraźnie oznaczone przy jej początku za pomocą rozbryzganej na ścianie kolorowej farby układającej się we wzór sigilu. Jest to symbol w ulicznym języku i barwach gangu, natomiast sformułowany w przedawnionym dialekcie, którym niewielu się dziś jeszcze posługuje i który tylko stare wiarusy mafii są w stanie poprawnie rozczytać. Drugi tego typu znak znajduje się u szczytu rury spustowej, pomieszany z innymi graffiti. Ten stwierdza, że w pobliżu znajduje się miejsce warte uwagi, miejsce, w którym każdy znajdzie to, czego szuka.

Naturalnie nie jest to jedyna droga prowadząca do sklepiku Mallarda. Ci, których ciała podlegają zgoła mniej rygorystycznym ograniczeniom niż te należące do zwykłego ludu docierają do niego skacząc po dachach, zakradając się przez okoliczne strychy i kanały wentylacyjne, wspinając po ścianach bądź nawet przelatując w powietrzu za użyciem liny z hakiem bądź lotni. Ba, niektórzy posiadają wszak nawet poręcznych rozmiarów maszyny latające, a inni – w pełni sprawne skrzydła! Mniejsza jednak o to, jak kto tu dociera. Ważniejsze, co zastają na miejscu.

Nikt tak na dobrą sprawę nie zna historii Mallarda i tego, co robił zanim zajmował się swoim sklepikiem. Wiadomo, że należy do stosunkowo rzadkiej rasy kaczeńców, istot, które wyewoluowały od ptactwa wodnego. Naturalnie żadna z mniejszych ras wywodzących się od ptaków – gołęby, wrońcy, wróbliki i inni – nie zachowała zdolności lotu po swoich przodkach. Natomiast kaczeńcy słyną z tego, że nie tylko nie latają, ale w ogóle lepiej się czują w wodzie niż na lądzie. I są z reguły

straszliwie leniwi. To domatorzy, którzy lubią mościć swoje gniazdka i przesiadywać w nich do znużenia. Oczywiście nie możemy ulegać rasowym stereotypom, nie w dzisiejszych czasach i zwłaszcza przy tym klimacie politycznym, ale prawda jest taka, że Mallard jak najbardziej uosabia wszystkie te stereotypy na temat swojej rasy. Można by wręcz pokusić się o stwierdzenie, że jest kaczeńcem *par excellence*.

To postawny osobnik o zielonym upierzeniu głowy, z błyszczącym, żółtym dziobem i czarnymi oczkami, które zdają się nie mieć żadnego wyrazu, a jedynie obijać świat, który je otacza. Mówi cichym, spokojnym głosem, nie zdradzającym emocji, może poza lekkim rozbawieniem w chwilach, w których posługuje się ironią. Nosi eleganckie, ale wygodne garnituro-szlafroki, idealne zarówno do siedzenia w wielogodzinnej kąpieli, jak i do prowadzenia uprzejmych konwersacji oraz dyskretnych interesów. O sobie mówi bardzo niewiele, do tego stopnia, że jedynym znanym większej liczbie osób faktem na temat jego osobistych preferencji jest ten, że ponoć nie lubi on rodzynek.

Właściwie trudno stwierdzić, czy w ciągu kilku ostatnich lat był kiedyś taki moment, w którym Mallarda nie było w jego sklepie, bądź choćby w odległości dziesięciu, może dwudziestu kroków od niego. Czy to w dzień, czy w noc, zawsze niemal zastać go można w jednym i tym samym miejscu – w obłożonej niebieskawymi ceramicznymi płytkami głębokiej, okrągłej wannie wmurowanej w zwieńczenie rynny, pod płócienną markizą w biało-zielone pasy, otoczonego istnym gąszczem przedmiotów, w którym miesza się to, co jest jego własnością z tym, co ma on na sprzedaż. Co prawda drzwi wiodące do lokalu mieszkalnego należącego do Mallarda znajdują się tuż obok, ale on sam traktuje jego wnętrze raczej jako poszerzoną przestrzeń magazynową niż dom z prawdziwego zdarzenia. Nie, jego miejsce jest za drewnianą ladą, przy kasie, po pas w cieplutkiej wodze, skąd najlepiej służyć może wąskiemu gronu swoich klientów z wystudiowaną uwagą, z klasą, zgodnie z wszelkimi zasadami etykiety. Jego w tym miejscu obecność stała się czymś oczywistym, niezmiennym elementem tła, odwiecznym jakoby faktem życia, którego brak byłby czymś nie do pomyślenia. I tak ten poczciwy, nad wyraz inteligentny kaczeniec wrósł niejako w samą tkankę miasta, zespoił się z jego esencją i wtopił się w jego szum. Choć o jego istnieniu i o tym, gdzie go znaleźć wiedzą nieliczni, echa jego działalności rozeszły się szerokimi kręgami dalece dalej niż między samym tylko gro-

nem tych, którzy korzystają z jego usług. Wielu z tych którzy o nim usłyszeli zwyczajnie nie wierzy w jego istnienie. Jest on, jak się to mówi, miejską legendą.

Część III. Życie kupca, życie konesera

Wygodę i klasę, a nawet luksus czasem znaleźć
można tam, gdzie nikt by się ich nie spodziewał.

Czy się go lubi czy nie (a ma on wszak również wielu wrogów...), nie sposób zaprzeczyć, że Mallard potrafi się dobrze urządzić. Swój sklepik, ten niewielki, ciasny kącik umoszczony w samym rogu jednego z głębokich załomów miejskiej tkaniny, wystrojony został osobiście przez niego tak, że każdy przedmiot, każdy drobiazg ma w nim swoje perfekcyjnie wyznaczone, przemyślane miejsce. Zebrane w całość te szkatułki, szafki, półki, półeczki, tace, szklanki, filiżanki, stojaki, dzwonki, słoiki i słoje, amulety, miecze i komputery stanowią sensowny, wewnętrznie spójny system, dzięki któremu Mallard zna dokładnie położenie całego swojego inwentarza i nigdy, przenigdy nie musi tu niczego szukać. Zawsze po prostu wie, co i gdzie się znajduje, bo zawsze wszystko jest tu na swoim miejscu.

Obok całej masy obiektów przeznaczonych na sprzedaż, które zasługują na odrębne dogłębne omówienie, gospodarz tego miejsca otoczył się w nim również ścisłą selekcją tych, które niezbędne są mu do wiedzenia jego własnego, nietypowego trybu życia absolutnego domatora. Innym życie takie wydałoby się może do bólu żmudne i monotonne, ale nie Mallardowi. Jego zdaniem przemieszczanie się w przestrzeni, odwiedzanie innych miejsc i ludzi nie jest mu po prostu do niczego potrzebne. Nie wtedy, gdy wie już wszystko o każdym miejscu w całym mieście i gdy każdy kogo chciałby spotkać i tak prędzej czy później przyjdzie do niego.

Czasem trudno rozróżnić, co tu właściwie jest na sprzedaż, a co nie. Nie ma tu żadnych metek, żadnych cen, żadnych oznaczeń, a po prostu gąszcz rzeczy, w którym należy się odnaleźć na własną rękę, chociaż w tym akurat gospodarz zawsze służy pomocą. Co więcej, sam status niektórych przynajmniej spośród tych rzeczy jest względny – być może Mallard kupił tę czy tamtą butelkę wina z myślą, że sam z chęcią skosztuje jej zawartości, ale da się przekonać do jej odsprzedania po odpowiednio intensywnych negocjacjach. Za właściwą cenę mógłby zapewne się rozstać z na-

wet bardziej cenionymi swoimi własnościami – z cennymi figurkami, rzadkimi woluminami, a nawet z obitą czystym złotem kością słoniową. Podkreślmy jednak, że cena musiałby być wtedy doprawdy właściwa.

Układ sklepiku i logika której jest on podporządkowany zdradza pewien nieortodoksyjny rodzaj lenistwa u tego, który to wszystko zorganizował. Oto w samym centrum mamy Mallarda pośrodku sporej wanny na planie koła. Wanny, dodajmy, wypełnionej po brzegi gorącą, wrzącą niemal wodą z solidnym dodatkiem wszelakich mydeł, rzadkich olejów, płynów i soli kąpielowych tworzących z reguły gęstą, buzującą pianę na jej powierzchni, która z rzadka przelewa się również za krawędź wanny. Zawartość tej ostatniej nieustannie podgrzewa masywny piec z bitej stali, do którego Mallard co prawda dokłada od wielkiego dzwonu szczapkę drewna bądź garstkę węgla, ale który swoje gorąco czerpie przede wszystkim z instalacji grzewczej samej kamienicy, do której jest rzecz jasna podłączony. Jeżeliby się ktoś natomiast zastanawiał, skąd sklepikarz bierze w tym swoim kąpielisku co i rusz świeżą wodę, to odpowiedź na to pytanie jest tak oczywista, że aż bije w oczy – wszak Mallard siedzi w rynnie! Fakt, deszczułka w której się pławi wymaga nieco przefiltrowania z różnorakich brudów, ale nie jest to nic, z czym znajdująca się na dachu niewielka stacja filtracyjna by sobie nie poradziła. W ten właśnie sposób ten kaczeniec–domator siedzi sobie co dzień w cieple i rozmiękczającej wygodzie i nawet nie musi za to niemalże nic płacić!

Wanna rzecz jasna stanowi samo centrum, natomiast wszystko pozostałe jest temu centrum podporządkowane. Mallard wyznaje prostą, ale niezwykle użyteczną filozofię – wszystko w jego sklepie, cały asortyment i każdy przedmiot codziennego użytku musi być w zasięgu jego ręki. Tyczy się to zarówno będącej tu w stałym użytku starej kasy fiskalnej wykonanej ze złotawego metalu, pudełka na cygara, w których sklepikarz się lubuje, jak i zdobionej palisandrowej tacy, na której zawsze znaleźć można jego tradycyjny jadeitowy zestaw do herbaty. Co prawda jego właściciel na herbacie i jej przyrządzaniu za bardzo się nie zna (i on sam przyzna to jako pierwszy), a na pewno zna się na niej gorzej niż na alkoholach, ale nie zmienia to faktu, że po prostu bardzo lubi jej smak i często ją przyrządza. Zdarza się również, że częstuje swoich klientów brązowawym naparem który uda mu się nawarzyć, oczywiście podanym w drobnej czarce z drogocennego zielonego minerału. Ponadto z reguły ma

również na piecu nastawione kilka mniejszych pojemniczków i kufelków, w których przygotowuje napoje bardziej tajemnicze i egzotyczne, jak mleko orzechowe czy spieniony miód. Czasem miesza je ze swoimi herbatami, a czasem popija je po prostu dla nich samych.

Tuż obok pieca stoi staromodny stojak na wina. Prezentowana na nim ich kolekcja nie jest być może zbytnio imponująca, jeśli porówna się ją do piwniczek należących do bogatych magnatów i celebrytów, które wypełnione są aż pod sam sufit przednimi trunkami. Niemniej Mallard ma prawdziwe oko do win i każda butelka którą ma w swoim posiadaniu czymś się wyróżnia. Dwie czy trzy pochodzą z bardzo cenionych winnic z regionu, który wiele lat wcześniej został doszczętnie zniszczony przez powodzie i żaden szczep winny już tam dzisiaj nie rośnie. Jedna to bodaj najbardziej pożądany przez kolekcjonerów rocznik, jaki tylko można sobie wymarzyć. Jeszcze inna należała niegdyś do bardzo słynnego pisarza, autora poczytnych kryminałów, który odsprzedając ją Mallardowi złożył na niej swój autograf. Jedna wreszcie jest pozbawioną etykiety zagadką, która może być zarówno bezcenna, jak i bezwartościowa, ale żeby się o tym przekonać trzeba by ją było najpierw odkorkować.

Poza swoimi winami gospodarz sklepiku trzyma też zazwyczaj pod ręką dwie czy trzy karafki z różnymi innymi alkoholami. Ich zawartość zmienia się zależnie od sezonu, a czasem i od nastroju ich właściciela. Na wiosnę gin kardamonowy i absynt z nutką mięty, na lato naturalnie słodki, orzeźwiający cydr, jesienią najprzedniejsza whiskey i zagęszczony koniak, zimą przede wszystkim rozgrzewająca wódka. Na rozweselenie co delikatniejsze piwo, na smutki wermut, tequila przy gniewie, szampan na specjalne okazje, a na melancholię – orzechówka na miodzie. W przeciwieństwie do win, trunki w karawakach przeznaczone są tu do przede wszystkim picia, więc Mallard chętnie częstuje nimi swych gości, jak również sam popija dwie czy trzy szklaneczki dziennie, co jego własnym zdaniem jest w sam raz. Napoje te, jak się zdaje, nie mają na niego zresztą większego wpływu i nikt nigdy nie widział go nawet lekko podchmielonego, a co dopiero pijanego. W trunkach ceni sobie ich smak, teksturę i złożoność, i to, jak wiele wiedzy można na ich temat posiąść, nie zaś sam stan upojenia.

Ktoś mógłby zapytać, co właściwie Mallard robi w swoim sklepie przez całe te dnie w chwilach, gdy nie obsługuje swoich klientów. Tych ostatnich jest wszak ponoć nie tak znowu wielu, toteż kaczeniec musi siłą rzeczy narażony być na dłuższe okresy nudy, w których po prostu czeka, aż ktoś go odwiedzi. Co robi z całym tym wolnym czasem? Czy jednie po prostu śpi i zażywa wieczystej rozleniwiającej kąpieli?

Oczywiście nic nie jest dalsze od prawdy, a odpowiedź na te pytania, złożoną z kilku oddzielnych segmentów, daje się wywnioskować z grupy przedmiotów zgromadzonych po jego lewym boku, a więc z perspektywy kupującego – po prawej stronie sklepu.

Po pierwsze, Mallard uwielbia oglądać telewizję. Posiada wykupioną subskrypcję na najdroższy możliwy pakiet satelitarny i choć należące do niego odbiornik i antena nie są już wcale takie młode, to wciąż doskonale spełniają swoją funkcję. Sklepikarz wydaje się być wiecznie zainteresowany tym, co dzieje się na szklanym ekranie jego telewizora, zawsze uważnie słucha, przeskakuje z kanału na kanał, śledzi wzrokiem zmieniające się obrazy. Do jego absolutnie ulubionych treści należą kanały informacyjne nadające wiadomości z całego miasta bez przerwy, przez całą dobę. Śledzi je wszystkie, nawet te najmniej popularne, i choć z oczywistych powodów na raz oglądać może tylko jeden z nich, i tak zawsze zdaje się doskonale wiedzieć, co zostało o danym wydarzeniu powiedziane w „Wydaniu Codziennym", a co w „Informatorze Dnia", który reporter był na którym miejscu zdarzenia i jakich dwóch ekspertów znowu pokłóciło się na wizji w sprawie regulacji praw nocnych mścicieli.

Oprócz kanałów informacyjnych Mallard zerka czasem również na inne programy, w tym uwielbiane przez mniejsze rasy seriale kryminalne, opery mydlane, teleturnieje i reality show. Raz na jakiś czas zdarzy mu się też, bardziej przez przypadek niż z intencji, nastawić odbiornik na telewizję olbrzymów, która z jakiegoś powodu wciąż jest jeszcze czarno-biała i której praktycznie nie da się oglądać, bo składa się na nią jedynie ciąg przedziwnych, powoli zmieniających się grafik i dudniący szum, który jest po prostu wleczącą się w ślimaczym tempie mową gigantów.

No i jeszcze poza tym są również sekretne kanały mafijne, które gangsterzy wykorzystują do przekazywania sobie zaszyfrowanych wiadomości. Oczywiście dla Mallarda rozszyfrowanie ich to z reguły nic trudnego. Większość języków i kodów

mafii jest mu bardzo dobrze znana, a co do tych, których nie zna, zawsze jest w stanie się skonsultować z jednym ze znanych mu informatorów. W ten właśnie sposób łączy on swoje pierwsze hobby, jakim jest telewizja, z tym drugim, jakim jest zbieranie informacji.

Nie jest żadnym sekretem dla wtajemniczonych, że choć w sklepiku Mallarda kupić można najróżniejsze, nieraz bardzo cenne obiekty, to czasem największe ceny kupujący płacą tu za coś zupełnie niematerialnego – za informacje. Podstępny kaczeniec jest nie tylko sklepikarzem, ale też brokerem informacji, i to piekielnie skutecznym, a to dlatego, że na zbieranie i gromadzenie swojej bazy danych poświęca diablo dużo czasu. Czasem pewnych rzeczy dowiaduje się z sekretnych kanałów w telewizji, często usłyszy coś od tych, którzy odwiedzają go we własnej osobie, ale jego podstawowym narzędziem w tej materii jest czarny, plastikowy telefon schowany w kąciku między telewizorem a regałem z książkami.

Jak się okazuje, pan kaczor ma w mieście bardzo szeroko zarzuconą sieć kontaktów i informatorów rozmieszczonych w każdej warstwie społecznej – i wśród żebraków, i wśród robotników, i wśród celebrytów, i wśród bohaterów. Bywa, że dzwonią do niego śledczy, którzy są w kropce i potrzebują jakichś nowych tropów. Bywa, że dzwonią do niego klawisze, by dać znać, kto właśnie uciekł z więzienia. Bywa, że dzwonią do niego członkowie parlamentu i z uprzejmości wspominają, co ktoś właśnie szepnął im na uszko na imprezie w rezydencji burmistrza. Bywa, że ten czy inny wybawiciel w pelerynie chce się dowiedzieć, gdzie jest nowa kryjówka jego nemezis. Bywa też, że Mallard prowadzi przez ten telefon długie rozmowy o drobnych detalach, np. z zapalonym entomologiem-amatorem o pewnych szczególnych właściwościach skrzydeł motyli z gatunku *lepidosa negra urbana*. Zawsze jest pod telefonem, bo w każdej chwili ktoś może zadzwonić, bądź by podzielić się jakąś wiadomością wartą poznania, bądź obiecując wszystko, co się da, by taką wiadomość otrzymać.

Niektórzy podejrzewają, że stary, poczciwy Mallard nie jest w stanie tego wszystkiego spamiętać, że musi wszystkie te ważkie informacje gdzieś skrzętnie zapisywać. Jako głównego kandydata na miejsce gromadzenia przez niego owych notatek typuje się z kolei regał na książki, który stoi tuż obok telefonu. Niektórzy byliby w stanie sporo oddać, by zapoznać się z tym, co się na nim znajduje. Byliby jednak,

jak się zdaje, bardzo rozczarowani, prawda jest bowiem taka, że Mallard wszystkie te informacje trzyma w swojej pamięci, a regał służy mu do przetrzymywania paru zaledwie książek, które po prostu lubi on czytać. Jest tu kilka tomów encyklopedii, garść rzadkich edycji powieści, kilka egzemplarzy monografii z imienną dedykacją i podziękowaniami za pomoc od ich autorów oraz cała pięknie wydana seria pamiętników ważnych postaci z historii mniejszych ras miasta, od fundatorów lokalnych społeczności, przez artystów po sławnych podróżników i awanturników. Wszak to, że sklepikarz nigdy nie chciał wyjechać do obcych krajów wcale nie oznacza, że nie lubi on sobie o nich od czasu do czasu poczytać.

Na regale, powyżej wszystkich tych tomów, gromadzi zaś Mallard jedne ze swoich najbardziej kosztownych własności – drogocenne figurki, stare zwoje i wytwory sztuki jubilerskiej, które upodobał sobie kolekcjonować. Jak się zdaje, jego praca jako handlarza informacjami nie raz i nie dwa naprowadziła go na trop z dawna ukrytych i zapomnianych skarbów, których położenie zdradzał on swoim co bardziej zaufanym przyjaciołom wśród poszukiwaczy przygód. I z każdego z tych skarbów, odzyskanych przez nich, udało mu się uszczknąć coś dla siebie, raczej jednak w charakterze symbolicznym niż po to, by wesprzeć swoje finanse. Szczególnie ulubione są przez niego artefakty, które mają za sobą jakąś ciekawą, unikalną historię związaną czy to z dziejami miasta, czy losami tych, którzy te skarby poukrywali. Uzupełnianie tej kolekcji to kolejne hobby Mallarda.

Innym jeszcze jego żywym zainteresowaniem jest rzadko praktykowana, hermetyczna niemal sztuka, jaką jest alchemia kąpieli. Oto w rogu jego wanny spoczywa istny gąszcz słojów, pojemników, dzbanków i dzbanuszków w których przechowuje on eteryczne ingrediencje z których tworzy niezwykłe kompozycje piany, barwy i aromatu. Przy pomocy odpowiednio dobranych minerałów, płynów, łojów, kwietnych płatków, mydeł, soli, maści, wosków, soków i olejów, czy to pozyskanych z zagranicznych ziół, czy od zagrożonych wyginięciem zwierząt (czasem zgodnie z zasadami zrównoważonego rozwoju, a czasem, wstyd to przyznać, w sposób bardziej dyskusyjny...) jest on w stanie idealnie regulować fakturę otaczającej go wody, barwę i gęstość piany, jej zapach, a być może i nawet smak, i co mu się jeszcze tylko zamarzy. Po latach własnych eksperymentów jest on, można to śmiało rzec, światowej klasy znawcą w tej niszowej, ezoterycznej dyscyplinie wiedzy. Gdyby znalazł

dość czasu by napisać książkę na ten temat, gospodynie domowe z całego miasta i wszyscy w ogóle miłośnicy długich kąpieli przy świecach byliby mu zapewne za nią bardzo wdzięczni.

Ostatnim z wielkich zamiłowań Mallarda, choć praktykowanym przezeń nie aż tak znowu często, jest obserwacja. Choć otaczają go z każdej strony liczne przedmioty, kaczeniec ten lubi od czasu do czasu nieco je poprzestawiać i rozsunąć nieco rąbek zasłony stanowiącej prowizoryczną ścianę jego sklepiku. W ten sposób może wyjrzeć w bok i w dół, na to, co dzieje się poza jego rynną, w wąskiej, ruchliwej miejskiej alejce, pośród której przyszło mu żyć. Z reguły nie widać tam nic ciekawego – ot, zwykłe codzienne tłumy przedstawicieli mniejszych ras przemierzają okolicę w swoim rutynowym zabieganiu, a od czasu do czasu pojawi się też może jakiś gigant czy dwóch. Bywa jednak i tak, że wydarzy się coś bardziej niespodziewanego. Wszak „U Mallarda" stanowi miejsce spotkań zarówno dla lokalnych bohaterów, jak i złoczyńców których próbują oni zwalczać. Nie raz i nie dwa wydarzyło się, że gdzieś w okolicy jedni przez przypadek spotkali się z drugimi, powodując, jak zwykle, niezłe zamieszanie. W rzeczy samej, spora część jednego z ważniejszych pojedynków w dziejach miasta stoczyła się właśnie na pobliskim dachu, na który Mallard miał podówczas świetny widok. Nic zatem dziwnego, że kaczeniec lubi sobie od czasu do czasu wyjrzeć za chroniącą go od wiatru kotarę, nigdy bowiem nie wie tak naprawdę, co może wydarzyć się w alejce pod nim.

I tak właśnie upływają dni owego kaczego sklepikarza. Siedząc w swojej wannie oddaje się on tym aktywnościom, które lubi najbardziej, oświetlony blaskiem żarówki osadzonej w witrażowym kloszu, wytworze rąk dawnego rzemieślniczego mistrza, o którym pewien wybitny akademik i znawca designu rzek ponoć niegdyś, że jest on bezcennym zbytkiem i jego miejsce powinno być w muzeum, a nie w tym zapomnianym przez bogów kącie miasta. Tu właśnie Mallard oddaje się oglądaniu telewizji, zbieraniu informacji, czytaniu starych pamiętników, kolekcjonowaniu figurek, eksperymentowaniu z solami do kąpieli i obserwowaniu alejki w dole. Nie możemy jednak zapominać, że najważniejszą jego aktywnością pozostaje bezsprzecznie co innego, a mianowicie – kupowanie i sprzedawanie swojego niezwykłego asortymentu.

Handlarzem może zostać każdy. Sztuką jest sprzedawać to, o czego istnieniu inni handlarze nie mają nawet pojęcia.

Co takiego właściwie można kupić w sklepiku „U Mallarda"? Cóż, odpowiedź na to pytanie jest stosunkowo złożona. W zasadzie zależy ona od tego, kiedy zadamy to pytanie, a także od tożsamości samego pytającego. Nie ma chyba jednej nawet takiej osoby, której Mallard udostępniłby cały swój asortyment bez żadnych ograniczeń. Zamiast tego swoją ofertę kraje on indywidualnie pod każdego klienta z osobna. Często wie, czego im potrzeba nawet jeszcze zanim otworzą usta. Mimo to rozważmy jednak to pytanie z perspektywy generalnej i przyjrzyjmy się po prostu wszystkim tym towarom, które leżą tu na półkach.

Tyle tu tego wszystkiego, że trudno się zdecydować, od czego zacząć, od czegoś jednak trzeba. Spróbujmy może tak: najbardziej pospolitymi obiektami, jakie tylko Mallard może sprzedać, są zwykłe, codzienne, papierowe gazety. Te dostępne są u niego dla wszystkich, sprzedałby je nawet zbłąkanemu włóczędze który nie ma zielonego pojęcia z kim ma tak naprawdę do czynienia. Co prawda dystrybutorzy prasy szczerze nienawidzą kaczeńca za to, że muszą mu te gazety dzień w dzień dostarczać w tak niedostępne miejsce, ale umowy są wiążące, a on je zgodnie ze swoimi uprawnieniami raz za razem przedłuża. Pewną rolę odgrywa w tym zapewne fakt, że sam lubi lekturę gazet niemal tak bardzo jak oglądanie telewizji i zawsze zabiera po egzemplarzu na swój prywatny użytek.

Rzecz jasna poza prasą codzienną istnieją również wydawnictwa mniej pospolite – tygodniki, miesięczniki, kwartalniki, roczniki czy numery okolicznościowe. Szczególny wybór tych rzadszych i trudniej dostępnych z nich również zawsze można tu zakupić. Na niewielkiej podstawce w rogu lady spoczywa garść pism w eleganckich, śliskich okładkach. Są tu takie traktujące o modzie, o najnowszych technologiach, o polityce, o wydarzeniach kulturalnych i sztuce, oraz, rzecz jasna, o superbohaterach. Niektóre z nich Mallard również czyta sam, natomiast znaczną ich część sprowadza tylko ze względu na swojego sąsiada i przyjaciela, emerytowanego kreciego profesora, który zawsze się w nie u niego zaopatruje i który je z rozmiłowa-

niem czyta. W ten sposób obaj są bardzo dobrze poinformowani odnośnie tego, co się w którym zakątku miasta akurat dzieje.

Są również u Mallarda dostępne pewne wiktuały. Podstawowy ich zakres odnaleźć można w masywnym automacie sprzedażowym stojącym koło lady. Gospodarz sklepiku ponoć długo zastanawiał się, czy sobie taki w ogóle sprawić, z jednej strony był bowiem zdania, że sprzedaż czegoś tak pospolitego jak zwykła puszka coli czy karton jogurtu jest poniżej jego prywatnego poziomu (dla gazet robił wyjątek ze względu na ich wartość informacyjną), z drugiej jednak prowadzony przez niego lokal jest w końcu w świetle prawa definiowany jako „kiosk" i jako taki musi świadczyć określony zakres usług by można było przyznać na niego pozwolenie handlowe. Automat, prawnie należący do oferty sklepiku, jest wobec tego bezpiecznym kompromisem. Jego zawartość uzupełnia zewnętrzna firma, więc Mallard nie musi się przejmować tak trywialnymi zagadnieniami, jak to na przykład, który rodzaj lizaka jest w tym momencie najpopularniejszy wśród młodzieży. Oddelegowawszy te wymagane odeń pospolite usługi w ręce odpowiadającej za automat firmy logistycznej kaczeniec skupić się może w pełni na sprzedaży prawdziwie cennych artefaktów. I tylko dzieciaki od wydrali lekko go denerwują, gdy wpadają tu co chwilę, by kupić sobie jakieś słodycze za swoje niewielkie kieszonkowe.

Ciekawsze produkty spożywcze trzyma Mallard dla swoich nieco starszych klientów. Im zaoferować może zarówno pomoc w sytuacji zagrożenia zdrowia i życia, jak i coś na wzmocnienie określonych umiejętności.

Nie od dziś wiadomo, że mściciele wyruszający na swe nocne eskapady bez przerwy narażają się na szwank. Są kopani i bici, atakowani znienacka, wchodzą w chmury trującego gazu, nadziewają się na pułapki, zaraża się ich rzadkimi wirusami, no i ktoś skądś ciągle do nich strzela, już nie wspominając o wszystkich tych wybuchach. Na te i inne dolegliwości Mallard zawsze ma jakąś radę, o ile oczywiście nie są na tyle poważne, by wymagały interwencji ulicznego chirurga, tego z zakrwawionymi piłami i dziką manią w oczach. W takich przypadkach sklepikarz odsyła nieszczęśników do jego warsztatu, dwie przecznice dalej. Wszystkim pozostałym potrafi jednak posłużyć apteczką.

Oczywiście na drobne zadrapania i otarcia, oraz na generalny brak energii najlepszy jest zdrowotny batonik z granoli, natomiast na wszystko inne zawsze poradzi

ta czy inna apteczka, bandaż, inhalator, medipack albo proszki przeciwbólowe. Dzięki swoim dobrym kontaktom w farmacji kaczor ma u siebie na składzie znaczy wybór nie tylko tych klasycznych, najbardziej bezpiecznych opcji, ale też kilka różnorodnych leków i wspomagaczy, które bądź są na razie w fazie eksperymentalnej, bądź zostały wycofane ze sprzedaży, bądź nigdy nawet do niej nie trafiły, bo ktoś uznał je za „zbyt mocne" dla masowego odbiorcy. I masowemu odbiorcy Mallard by ich przenigdy nie sprzedał, ale już facetowi w naszpikowanej kolcami zbroi, który każe na siebie mówić per Pan Kolczasta Pięść, a który wszak jest przecież dorosłą osobą i sam odpowiada za swoje decyzje – to już zupełnie inna historia.

Tym zaś, którym nic zgoła nie dolega, ale którzy potrzebują, dajmy na to, nieco orzeźwienia, kaczeniec zaproponować może parę napojów, które leżą na jego słynnej srebrnej tacy. Tam znaleźć można współczesne odpowiedniki starodawnych mikstur i eliksirów, tym się od nich różniące, że zlane do plastikowych butelek, aluminiowych puszek i szczelnych termosików. Niektóre z nich dodają pijącemu nadmiernej siły, inne sprawiają, że wolniej się męczy, jeszcze inne doskonalą na czas jakiś jego zmysły percepcji bądź szybkość wnioskowania, czynią go niepodatnym na ciosy bądź w sekundę go otrzeźwiają. Niektóre to zwykła loteria i nie wiadomo, co się stanie po ich wypiciu. Są to izotoniki, limitowane edycje gazowanych napojów w niecodziennych smakach, herbatki ziołowe rzekomo prosto od wiedźmy mieszkającej na granicy przedmieść i starożytnego bagna, butelkowana woda ze świętych źródeł leżących głęboko pod fundamentami miasta czy też autorska lemoniada prywatnego szefa kuchni burmistrza. I niemal wszystkie one, niezależnie od efektu, smakują przepysznie.

Wiemy jednak wszyscy dobrze, że nie samymi napojami istota rozumna żyje (by sparafrazować mądrość starożytnych); ba, ci, którzy zaopatrują się u Mallarda jak się zdaje do życia potrzebują równie mocno posilającego jedzenia i napojów, co porządnej bitki dla rozruszania kości. Tym bardziej jest to prawda, że wszak wszystkie te substancje wspomagające zażywają nie po to, by pobijać sportowe rekordy, lecz właśnie by wyrobić sobie jakąś przewagę nad swoimi przeciwnikami. W walce jednak istotniejsza nawet od spożytych wspomagaczy jest porządna broń, tej zaś kaczeniec oferuje pod dostatkiem.

Większość ze sprzedawanych przez siebie narzędzi do wyrządzania krzywdy bliźnim trzyma Mallard u siebie na najwyższej półce, coby nie korciły byle kogo. Natomiast istotny od tego wyjątek stanowi jego specjalny program sprzedażowy, który sam określa hasłem „katana wieczoru". Otóż z jakiegoś powodu zarówno miejscy herosi, jak i złoczyńcy umiłowali sobie właśnie katany jako ich najbardziej ulubioną broń. Zwykłe miecze o prostym ostrzu, czy to stalowym, czy z tytanu, pozytronu bądź czystej energii nie cieszą się nawet w połowie taką popularnością, jak smukłe, eleganckie katany, te cacuszka rodem z Dalekiego Wschodu. I dlatego właśnie, że popyt na nie jest tak wielki Mallard musi go nieustannie zaspokajać, czasem sprzedając nawet po dwie, trzy katany jednego wieczoru. Dlatego też, być może z pewnej przekory, zdecydował się, że na stanie nie będzie wystawiał więcej niż jednej, odsprzedawanej na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy". Czasem trafiały mu się prawdziwe perełki z dawno zapomnianych czasów wykute przez mistrzów takiej znamienitości, że niektórzy do dziś otaczają ich imiona nabożną czcią. Innym razem – prototypy zaprojektowane przez branżę zbrojeniową na zlecenie techno-miliarderów. Z reguły było to coś mniej spektakularnego, ale cokolwiek by to nie było, zawsze znajdował się na to kupiec. Niektóre katany odsprzedawał kaczeniec już po kilka razy po tym, jak wracały one do jego rąk jego własnymi, szemranymi kanałami. Najwyraźniej niektórym niezbyt się poszczęściło w walce tą bronią, ale innych wcale to nie zniechęcało. Tak, każdy chce mieć swoją własną katanę...

...zwłaszcza że w pakiecie do niej można również otrzymać zestaw różnorodnych shurikenów mniej lub bardziej pasujących do dłoni tego, kto chce je miotać. Należy tylko pamiętać, żeby pakując je sobie przy opuszczaniu sklepiku przypadkiem nie ukłuć się czubkiem jednego z tych, które nasmarowane są trującą mazią.

To też dobry moment, by wspomnieć, że Mallard przenigdy nie sprzedałby broni zaklasyfikowanej jako śmiercionośna komuś, kto nie ma na nią odpowiedniego pozwolenia. I choć o takie pozwolenie wcale nietrudno w mieście aż rojącym się od skorumpowanych gliniarzy, to uzupełnić je tu należy również osobistym zaufaniem kaczeńca, że broń ta zostanie użyta, i tu cytat, „we właściwym celu" (cokolwiek by to u niego nie znaczyło), a o takie zaufanie jest już znacznie, znacznie trudniej.

Gros tego, co Mallard ma u siebie na sprzedaż rozłożone jest na jego trzech dużych półkach, gdzie każdy rodzaj przedmiotu ma z grubsza wyznaczoną dla siebie przegródkę. Sklepikarz nie ma nic przeciwko temu, jak jego klienci i klientki wyciągają szyję, byleby tylko najlepiej zobaczyć, co też tam leży na tych półkach każdej danej nocy, natomiast dobrze wie również, że w ostateczności i tak muszą polegać oni i one na jego opisie i subtelnych podpowiedziach. Ostatecznie zawsze lepiej wychodzi się na tym, że się go zapyta o sugestie niż na usilnym próbowaniu, by znaleźć coś dla siebie samemu.

Na pierwszej, najniższej półce leży z reguły drobnica, obiekty na tyle małe, że powinny zmieścić się u kogoś w dłoni (choć są i wyjątki). Na pierwszy ogień idą zegarki kieszonkowe. Te, jak się okazuje, są wciąż modne w całym mieście i dobrze jest je mieć pod ręką. Na półeczce kaczeńca leży kilka standardowych modeli pokazujących właściwą godzinę i regularnie przez niego nakręcanych, te jednak są jego zdaniem zupełnie nudne. Bardziej ciekawią go unikaty, takie jak ten, który ponoć należał do słynnego ulicznego magika i jest jedyną jego rzeczą która po nim pozostała po tym, jak pewnego dnia wykonał szczególnie efektywną sztuczkę ze znikaniem. Inny z kolei należał ponoć kiedyś do ściśle tajnego rządowego agenta i wręcz nafaszerowany jest gadżetami. Jeszcze inny został Mallardowi sprzedany przez przywódcę jednego z miejskich kultów czczących Boga-Aligatora mającego rzekomo żyć w kanałach pod metropolią. Jest tu zegarek skonstruowany przez szaleńca-wynalazcę i taki przechwycony przez grupę spiskowców ze spadku po legendarnym mafijnym bossie. A tak, no i ten, który pewnego dnia się po prostu w tym stosie pojawił, być może podrzucony przez jakiegoś tajemniczego włóczęgę akurat gdy sklepikarz nie patrzył, a być może po prostu zaistniały samoistnie w jakimś akcie kosmicznej samokreacji.

W drugiej przegródce znaleźć można coś dla koneserów najnowszej technologii, nieznanej jeszcze w zasadzie masowemu odbiorcy – przenośne urządzenia komunikacyjne. Te są chyba najbardziej ulubionym sprzętem wśród mścicieli, bardziej nawet niż rękawice rażące prądem, pod względem popularności ustępują może jedynie niezawodnej lince z hakiem. Dzięki nim możliwa jest nie tylko nieustanna łączność z bazą, co dla niektórych oznacza oczywiście w pełni wyposażoną podziemną kryjówkę, najlepiej za jakimś wodospadem, a dla innych po prostu ubrane-

go w piżamę kolegę, który siedzi pod telefonem jednocześnie będąc wgapionym w ekran swojego mikrokomputera. Inne opcje to chociażby wyświetlanie minimapy, prowadzenie dziennika, śledzenie stanu swojego wyposażenia czy nawet nagrywanie audiologów. Zaskakujące, czego jest w stanie dokonać ta dzisiejsza technologia! No i nie zapominajmy o najważniejszej funkcji, jaką jest, rzecz jasna, dostępna z każdego miejsca w mieście możliwość zadzwonienia na czarny plastikowy telefon Mallarda i błagania go o udzielenie kilku dodatkowych informacji.

Jak zostało to już wspomniane, masowy rynek nie jest jeszcze gotów na przyjęcie tych urządzeń, zwłaszcza, że ich ceny w detalu wahają się w granicach tego, ile należy zapłacić za naprawdę porządne auto prosto z salonu. Większość importowana jest z mekk elektroniki na Dalekim Wschodzie i sprzedawana celebrytom w eleganckich pudełkach z białej perfumowanej tektury, natomiast tu leżą w jednej grupie – i te z ciemnego plastiku skrojone pod potrzeby maklerów giełdowych, i te bardziej delikatne dla artystów i krytyków literackich, i te masywne, wojskowe, którymi ponoć można nawet kogoś zatłuc, jeśli się bardzo chce. Fakt faktem, kaczeniec nie sprzedaje ich z reguły z pierwszej ręki, lecz odkupione od ich poprzednich właścicieli, ale za każdym razem upewnia się, że są sprawne i że wszystkie ich funkcje działają. Ponadto w razie potrzeby dokonuje drobnych napraw i usług pokroju wymiany baterii.

Czasem zdarza się, że ktoś potrzebuje kupić od Mallarda informacje w bardziej namacalnej formie niż tylko parę słów szepniętych na uszko, tj. informacje, których nikt, nawet on sam, nie byłby w stanie spamiętać, takie jak ciągnące się w nieskończoność szeregi cyfr. Tego typu dane zapisywane są na nośnikach, które sprzedawca gromadzi w trzeciej przegródce w swojej najniższej półce. Tam znaleźć można z reguły pliki i nagrania umieszczone na każdym chyba medium, jakie tylko jest w użytku w mieście, od taśmy celuloidowej po grawerowany z dokładnością do paru atomów czysty krzem. Są tu płyty, kasety, dyski, dyskietki, kartridże, karty pamięci, a czasem nawet karty perforowane i trudne do dostrzeżenia gołym okiem chipy. Nośniki wkładane do komputerów, odtwarzane na magnetowidach, projektorach, rzutnikach, magnetofonach, gramofonach, radiach, radyjkach i słuchawkach, a także sczytywane przez archaiczne maszyny liczące. Od tego, jak wyglądają i jak się je odczytuje ciekawsze jest jednak oczywiście to, co się na nich zawiera.

Raz będzie to rzadka kopia albumu jakiegoś mało znanego zespołu, innym razem nieprzetłumaczony kiczowaty film fantastyczny z jakiejś egzotycznej okolicy, a jeszcze innym backup prywatnych danych z mikrokomputera kogoś nazwiskiem Wilkins albo może Williams. Są też jednak przypadki znacznie ciekawsze – kartridż zawierający wersję beta przełomowej gry stworzonej przez szalonego developera, który zaginął w tajemniczych okolicznościach; oryginalne rolki filmowe jednego z największych klasyków kina gangsterskiego wraz ze scenami, które zostały wycięte w wersji dla szerokiej publiczności; rozmaite rezultaty szpiegostwa przemysłowego w postaci wyciągów z ksiąg biznesowych i rejestrów mikrokomputerów, albo może softu zazdrośnie strzeżonego przez pewną firmę przed konkurencją; jedyny egzemplarz pracy dyplomowej pewnego genialnego młodego naukowca, który dokonał w niej przełomowego odkrycia; nagranie z ukrytej kamery, na którym widać, jak minister finansów spędza bardzo przyjemnie czas z żoną jednego z liderów opozycji czy chociażby tajemnicze klipy niewiadomego pochodzenia, na których dzieją się jakieś przerażające paranormalne rzeczy w ciemnym lesie i w czyjejś sypialni. Ba, są tacy, którzy powiedzą wam, że na tej przeszlachetnej półce, w tej właśnie przeszlachetnej przegródce leżała kiedyś oznaczona w oficjalny rządowy sposób dyskietka zawierająca nic innego, jak tylko same czcigodne kody atomowe. I o przyszłym losie wszystkich tych artefaktów każdorazowo decyduje nie kto inny, jak tylko sam Mallard.

Podobnie jak decyduje o losie tego, co spoczywa w sąsiedniej przegródce, a są to rzeczy odmiennej natury, znacznie bardziej surowe i niewyrafinowane. Próbki rzadkich minerałów, metali i izotopów mieszają się tu z bateriami różnego pochodzenia i rozmiarów oraz tajemniczymi substancjami, alkalicznymi roztworami i paliwami bulgoczącymi w szczelnych pojemnikach. Za pomocą nietypowych i trudnych do znalezienia gdziekolwiek indziej baterii sprzedawanych u Mallarda zasilić można by zapewne wszystko, od pilota do najnowszego modelu telewizora, przez rozsądnych rozmiarów mikrokomputer po, dajmy na to, jakąś przedpotopową frezarkę przemysłową czy inną ultra-elektrodrążarkę. Jedna z nich, ta największa, miała nawet służyć za napęd w eksperymentalnym pierwszym na świecie automobilu elektrycznym, ale plany jego powstania spaliły ponoć na panewce, gdy stojący za tym projektem

ekscentryczny milioner znudził się tym tematem i zaczął zamiast tego inwestować w giełdę wirtualnych dzieł sztuki.

Część ze zgromadzonych tu minerałów i metali też można by zapewne użyć do wytwarzania energii, ale mają one i inne właściwości. Niezwykła twardość albo elastyczność, nadprzewodnictwo, podprzewodnictwo i międzyprzewodnictwo, gęstość i rzadkość atomowa, słowem – co tylko każdy chemik i inżynier może sobie zamarzyć. Większość z tych próbek, powiedzmy, „zaginęła" z dużych miejskich laboratoriów, choć niektóre minerały pochodzą ze złóż odnalezionych przez najdzielniejszych górników w bezdennych szybach pod najniższym poziomem tuneli kanalizacyjnych. Ba, niektóre są, jak to się sugeruje, pochodzenia pozaziemskiego i przyleciały z dalekich odmętów chłodnego kosmosu. Te promieniują jakąś niezwykłą energią, zdolną ponoć bądź do nadawania, bądź nawet do odbierania niektórym ich nadnaturalnych mocy.

A i to jeszcze nie wszystko. Warto zauważyć, że Mallard, mimo najszczerszych chęci, nie ma u siebie możliwości wytworzenia ochronnej atmosfery dla co bardziej złożonych rodzajów materii, które do podtrzymania istnienia wymagają warunków laboratoryjnych – wszystkich tych bozonów, deuterów i innych neutrino-kwarków. Siłą rzeczy nie może ich zatem sprzedawać... No, chyba, że ktoś zapakuje je dla niego w poręczny metalowy zbiornik, z wyglądu przypominający walizkę. Zdarza się, że kaczeniec ma u siebie na składzie jeden czy dwa takie większe zbiorniki leżące z tyłu jego wanny, między nogami wspomaganych pancerzy i kompletów zbrój bojowych, które również można tu nabyć. Ktoś mógłby powiedzieć, że to szaleństwo trzymać tak niestabilne (i zapewne niebezpieczne) związki chemiczne w tak odsłoniętym miejscu, ale Mallard dba o każdą swoją własność i wszystko co tylko ma na sprzedaż traktuje z jednakową, tj. niezwykle wysoką uwagą. Doskonale wie, co u siebie przechowuje i jak nie dopuścić do sytuacji, by był choćby cień ryzyka, że zaszkodzi to albo jemu, albo któremuś z jego klientów, w czym pomaga również fakt, że odmawia przyjęcia do siebie materiałów prawdziwie wybuchowych.

No a poza tym te metalowe zbiorniki dobrze się też komponują ze zwykłymi walizkami i aktówkami, które oczywiście również można tutaj znaleźć. Wszak czyż walizka w której przechowywane jest jakieś bliżej niesprecyzowane, ale zawsze bezcenne „coś" nie jest aby jednym na najbardziej uniwersalnie pożądanych artefaktów

zarówno przez złoczyńców, jak i bohaterów? Nic więc dziwnego, że zawsze można na takiej zrobić dobry interes.

W ostatniej przegródce na najniższej półce u Mallarda znajduje się drobnica, która nie pasuje za bardzo nigdzie indziej, a więc głównie bibeloty, które sklepikarz kupił, bo mu się w danej chwili spodobały, ale szybko się nimi znudził. Oczywiście nie wszystko pasuje i do tej kategorii. Klucze, to trzeba przyznać, nie tylko zawsze są ciekawe, ale też zawsze są w cenie. Nigdy ich tu nie brakuje, od tych starożytnych, które wyglądają, jakby miały tysiące lat i otwierały jakąś pradawną skrzynię ze skarbami gdzieś na odległych tropikalnych wyspach (i być może tak jest) po te najnowsze, elektroniczne, na przykład do, dajmy na to, służbowego auta prokuratora okręgowego. Znajdą się tu też czasem również karty dostępu o różnych kolorach i rangach, a nawet wytrychy pozostawione przez sławnych złodziei czy klucze rzekomo magiczne, otwierające wszystkie zamki. Gdy w mieście zginie klucz do pokoju hotelowego w którym wydarzyła się jakaś straszliwa zbrodnia albo niewytłumaczalne zjawisko parapsychiczne, najlepsi i najbardziej dyskretni konsjerże dobrze wiedzą, że trzeba posłać kogoś do Mallarda. I to najlepiej prędko, zanim rzeczony klucz wykupi u niego ktoś inny.

Klucze mieszają się czasem u kaczeńca z drobiazgami pokroju kul śniegowych, flakoników, figurek, niewielkich zabawek, grzebyków, cukiernic, podstawek pod świeczki i tandetnych świętych obrazków w plastikowych ramkach. Rzekłbyś – rupiecie, a jednak nie są to rupiecie przypadkowe. Znajdą się tacy, którzy je nabędą, bo wierzą, że nawet one mogą mieć niezwykłą, magiczną moc. A to ten czy inny blaszany, więzienny kubek ma ponoć zapewniać szczęście i powodzenie we wszystkich działaniach niezgodnych z prawem (ze szczególnym wyróżnieniem włamów), a to żeton z kasyna słynie z tego, że należał kiedyś do farciarza notorycznie rozbijającego bank, a to flakonik różanych perfum ma zapewnić absolutne powodzenie u młodych, przystojnych i bogatych dżentelmenów i panien z dobrego domu. Nawet święte obrazki, zwłaszcza jeśli ofiarowane i poświęcone przez szczególnie znanego i charyzmatycznego kapłana, służyć mogą u najbardziej prawych obywateli za oddalające wszelkie nieszczęścia ryngrafy. Mallard dobrze wie, która porcelanowa figurka primabaleriny jest zupełnie bezwartościowa, a z którą wiąże się miejska legenda czy inne wierzenie ludowe.

Podobne bajkowe właściwości mają też mieć amulety zwisające w tym miejscu z półki. Niektórzy wstydzą się do tego przyznać, ale prawda jest taka, że niemal każdy mściciel i mścicielka w mieście nosi pod zbroją taki czy inny amulet, tak na wszelki wypadek. Choć nikt raczej nie słyszał o takim talizmanie, który by zwiększał poważnie czyjeś umiejętności bojowe albo dawał mu magiczne moce, to przecież i mniejsze bonusy w stylu znajdowania u pokonanych wrogów nieco większej ilości łupów, co gwarantować ma zdobiony medalion wykonany przez znamienitego ślepego jubilera, albo może nieznaczne przyśpieszenie wykonywanych ruchów zapewniane, jak się mówi, przez wisiorek spleciony z futerka wydrzej mistrzyni lekkoatletycznej – takie pomniejsze profity też się przecież liczą, prawda? Wobec nich wygląd ma zresztą drugorzędne znaczenie, choć oczywiście zawsze milej jest nabyć i nosić na piersi złoty naszyjnik wysadzany drogimi kamieniami niż druidyczny brelok spleciony z witek jakiegoś kolczastego krzewu.

Nieco podobną funkcję, z tym, że związaną z ochroną raczej miejsca niż osoby mają również pełnić dzwonki, których Mallard też ma pod dostatkiem podwieszonych na oczepie, czyli poziomej desce u zwieńczenia chroniącej go od deszczu wiaty. Czy z metalu, czy też z ceramiki, czy odzyskane z ruin jakiegoś dawnego klasztoru, czy przygotowane przez rządowych mistrzów ceremonii na obchody święta współpracy międzynarodowej jako ogólnoświatowy symbol pokoju, czy brzęczące cichutko, czy bijące z pełną mocą, kaczeniec sprzedaje je wszystkie tym, którzy potrzebują jakiejś niebanalnej dekoracji by odświeżyć swoją bohaterską kryjówkę, sypialnię w pnącym się pod niebo apartamentowcu, tajne laboratorium bądź gustowny gabinet nad piorącym brudne pieniądze kasynem. Jakiś czas temu Mallard sprzedawał też inne, podobne wiszące ozdoby, w tym głównie tzw. łapacze snów, ale któregoś razu skontaktowali się z nim przedstawiciele izby ludowej rdzennych mieszkańców tych ziem, uniżenie prosząc go, by zostawił w spokoju ich symbole religijne. Kaczeniec, wiecznie uprzejmy, tylko skinął głową, uśmiechnął się do siebie i przerzucił się na dzwony. Te są bardziej neutralne, a na dodatek bardzo ładnie mu pobrzękują na wietrze, stanowiąc miłą alternatywę dla otaczającego go z każdej strony gwaru wielkiego miasta.

Zwróćmy teraz nasz wzrok na wyższą, środkową półkę sklepiku, bowiem i na niej znaleźć można cały szeroki wachlarz kolejnych unikatowych przedmiotów do

kupienia za mniej lub bardziej rozsądną cenę. Choć ta półka jest nieco dłuższa od tej znajdującej się poniżej jej, to jednak przegródki ma tylko trzy, a nie pięć jak poprzednia. Znajdują się na niej towary nieco większych gabarytów, rozmiarów zbliżonych do, powiedzmy, czyjejś głowy, schodzą też one za wyższą cenę. Leżą wyżej niż te drobniejsze, ponieważ i rzadziej ktoś je kupuje, a w rezultacie kaczeniec rzadziej musi po nie sięgać, co w tym przypadku wymaga już od niego, by podniósł się ze swojej ulubionej, na wpół leżącej pozycji.

Czasem w sklepiku „U Mallarda" ma miejsce następująca sytuacja – oto klient upatrzył sobie jakąś kasetę albo dyskietkę, którą koniecznie musi nabyć, chociażby po to, by nie dostała się w niepowołane ręce, albo inaczej – w ręce prawa. Albo w ręce jego kochanki. Albo szefowej. Mniejsza o to; w każdym razie, rzeczony klient dobija targu z Mallardem, wręcza mu garść banknotów, sam dostaje w odpowiedzi rzeczony czip czy też kość pamięci i już ma odejść w swoją stronę, gdy wtem zdaje sobie sprawę, że przecież nie posiada żadnego urządzenia, na którym mógłby ten nośnik pamięci uruchomić i dobrać się do soczystych danych które się na nim znajdują. „Nie ma problemu" rzecze mu wtedy kaczeniec swym łagodnym, z lekka kusicielskim głosem. A potem kieruje klienta ku swojemu kącikowi z elektroniką.

Kącik z elektroniką zajmuje solidną część środkowej półki Mallarda i jest ku temu bardzo dobry powód – wraz z rozwojem technologii powstało ostatnio tyle różnych form mikrokomputerów i przenośnych palmtopów, że nie sposób zliczyć je wszystkie i wszystkie ich programy operacyjne.

Nie od dziś wiadomo, że mikrokomputery, te cuda drobiazgowej metalurgii zamknięte w szkaradnych obudowach z beżowego plastiku, zajmują dużo miejsca. Ich kineskopowe monitory, rozłożyste klawiatury, no i, rzecz jasna, cały ten gąszcz kabli – wszystko to sprawia, że w sklepiku kaczeńca dedykowane dla nich miejsce od razu rzuca się w oczy, i to nawet pomimo tego, że znajduje się ono za odwrotem tablicy na której wisi ten słynny neonowy znak w kształcie kaczki.

Znajdzie się tu zarówno coś dla amatorów niepotrafiących odróżnić komputerowego klikadła (wszak termin „mysz" jest rasistowski) od kontrolera do gier, ale i dla zaprawionych hakerów, którzy srebrzyste procesory z najnowszymi akceleratorami grafiki jadają na śniadanie i popijają cieczą do chłodzenia. Dla osób pracujących z dużą ilością tekstu – elektroniczna maszyna do pisania z wbudowanym pa-

kietem biurowym. Dla fanatyków gier – jednostka z czterema tytanowymi kartami graficznymi i podświetlanym ekranem. Dla zapracowanych biznesmenów – mikrokomputer przenośny do użycia w każdym możliwym miejscu. Jak również szeroki wachlarz zgrywarek, nagrywarek i wypalarek, zestawów deweloperskich, stacji roboczych i, rzecz jasna, czytników płyt i kaset w każdej postaci. Jedna z tych maszyn przez lata służyła wytrwale na giełdzie jednemu z królów miejskich piratów software'u, inną ofiarował ze swojej kolekcji jeden z pionierów technologii krzemowej, a jeszcze inna była kiedyś użyta w ataku wirusowym, który sparaliżował swego czasu na kilka godzin dzielnicę finansową i kosztował przeciętnego podatnika niemałą część jego ciężko wypracowanych dochodów.

Nie jest jednak żadnym sekretem, że prawdziwą dumę czerpie Mallard z oferowanej przez siebie selekcji cyberdecków, sprzętu dla prawdziwych maniaków wirtualności i cyberprzestrzeni. Doskonałe do hackowania, doskonałe do cyberszpiegostwa, doskonałe do przechowywania mocno zaszyfrowanych danych, a na dodatek poręczne, łatwe do ukrycia i technicznie nielegalne, jeśli ktoś nie ma pozwolenia wystawionego albo przez wysoko postawionego prezesa holdingu technologicznego, albo przez wojsko. Te, które można dostać „U Mallarda" są z reguły wyczyszczone po ostatnim użytkowniku, ale czasem można na nich znaleźć jakieś pozostałości dawnego kodu. Ten, kto znajdzie na swoim nowym cyberdecku byle powszechny soft do ataków DDoS co najwyżej wykrzywi usta w grymasie zadowolenia, ale jeśli jakiś heros bądź złoczyńca opierający swoje umiejętności na mocy obliczeniowej posiadanej przez siebie aparatury zauważy, że właśnie wszedł w posiadanie cyberdecka z tylnym dostępem do rządowych baz danych bądź przepotężnym lodołamaczem zakodowanym przez jedną z legend sieci – taki uśmiechnie się w pełni, wyszczerzając swoje zęby dziko, drapieżnie.

Nie ulega jednak wątpliwości, że nawet najpotężniejszy hacker w mieście z najnowszym cyberdeckiem nie będzie się czuł w pełni sobą, jeśli jego strój nie będzie w każdym calu odzwierciedlał jego dostojnego statusu i nie będzie obwieszczał wszem wobec, że oto idzie prawdziwy książę metropolii, którym on sam czuje się w głębi siebie. I w tym sklepikarz może nieco pomóc, aczkolwiek należy wpierw z całą mocą podkreślić, że w żadnym razie nie prowadzi on sklepu odzieżowego i nie ma zamiaru zaopatrywać domorosłych mścicieli w ich pierwsze maski, peleryny

i przyciasny spandex. Dość jest, jego zdaniem, innych lokali, które spełniają tę funkcję. Nie, on sam pozostaje specjalistą w bardzo wąskim zakresie garderoby uszeregowanym w dwie kategorie – okrycie głowy bądź okrycie rąk i nóg.

Wszystko to, co się nosi na głowie trzyma Mallard w drugiej przegródce na średniej półce, gdzie swoje miejsce mają tak rozmaite hełmy i kaski, jak i kapelusze oraz, co ważne, okulary. Mściciele i mścicielki słyną z tego, że lubią ukrywać swoją sekretną tożsamość za wizjerem hełmu albo chociaż solidną maską, więc jeśli wiedzą, że ktoś ma im do zaoferowania porządną osłonę na głowę dobrze chroniącą przed rozmaitymi uszkodzeniami czaszki, która jeszcze na dodatek potrafi wyświetlić im przed oczami jakieś ciekawe, wartościowe dane, to taka propozycja sprzedaży bez wątpienia wyda się im niezwykle kusząca. Jeden z metalowych kasków który można tu kupić to nawet poprzednia wersja sprzętu, z którego korzystał niegdyś pierwszy z superbohaterskich mistrzów technologii jakich tylko znało to miasto. Fakt, jest to model nieco wadliwy, ale nie każdemu musi to tak przeszkadzać jak owemu słynnemu perfekcjoniście który go stworzył, prawda?

Kapelusze są nieco mniej jednoznaczne, ale to nie oznacza, że mniej interesujące. Nie wyglądają być może tak efektownie i nie chronią równie dobrze jak odpowiednio dopasowana maska z wytrzymałych polimerów, ale też mają swoje zalety. Sponiewierany cylinder po świętej pamięci żebraku-czarodzieju, który miał za jego pomocą zawsze unikać niemiłych spotkań z policją, po prostu się w nim chowając, albo fez pozostawiony niegdyś w budce telefonicznej przez gościa podającego się za podróżnika w czasie nie trafią może w gust każdego, ale ci bardziej ekscentryczni (i ezoteryczni) spośród klientów Mallarda na pewno docenią ich wdzięk.

Natomiast niektóre spośród okularów stanowić będą doskonałe dopełnienie cyberdecka, posiadając wbudowane wyświetlacze danych. Nie wszystkie jednak, inne pozwalają bowiem np. widzieć w ciemności, w spektrum cieplnym albo, chociażby, przez ściany, i nawet podświetlają istoty żywe i inne punkty zainteresowań. Są tacy, którzy powiedzą wam, że to wszystko po to, by móc lepiej wieść śledztwa i planować ataki na złoczyńców, ale przecież wszyscy dobrze wiemy, do czego jeszcze taka technologia może być stosowana... Nie zapominajmy również o klasycznym czarnym modelu typu pince-nez (bez zauszników), który, jak się zdaje, nigdy nie wychodzi z mody.

Idąc dalej – nie jest żadną tajemnicą, że Mallard nie lubi sprzedawać butów i nawet niezbyt się na tym zna. Zwykle ma u siebie nie więcej niż dwie pary, ot, by dopełnić formalności. Są tacy, którzy spekulują, że to wszystko wina tego, że on sam przez całe dnie i noce siedzi w wannie, więc sam nie ma zbytniego użytku ze swoich własnych, rozmiękczonych gorącą wodą stóp. Być może nawet w ogóle zapomniał, że takie posiada?

Dużo lepiej, i to mu trzeba przyznać, zna się na rękawicach, zwłaszcza tych, które nadają się do porządnej bitki. Jeśli jakaś dostępna na rynku rękawica, karwasz, zarękawnik bądź łapawica ma wspomaganie pneumatyczne, wbudowany paralizator elektryczny albo wystające kolce które można z niej wystrzelić niczym z pistoletu, to kaczeniec albo właśnie ma ją na wystawie, albo już ją kiedyś sprzedał. Szczególną popularnością cieszy się zwłaszcza model z programowalnym komputerem pokładowym na wyposażeniu. W końcu to żaden wstyd, jeśli ktoś ma problemy z wyprowadzaniem ciosów po prostym łuku i potrzebuje by nieco pomogła mu w tym maszyna, prawda?

Oczywiście oferta sklepikarza nie byłaby w żadnym razie kompletna, gdyby nie było w niej kilku, no, powiedzmy, kilkunastu pierścieni. Wszak badacze miejskich legend i folkloru zgodni są, że to właśnie pierścienie są najstarszym rodzajem magicznych artefaktów, dzierżonym przez protagonistów każdego dobrego, wiekowego poematu heroicznego. Ale te przedwieczne, prawdziwe, z najdawniejszych czasów zaginęły przed wiekami i Mallard z całą pewnością nie posiada żadnego z nich. No dobre, być może i posiada, ale nawet jeśli, to na pewno nie trzyma go na widoku. Trzyma za to dzieła współczesnych jubilerów, z których niektóre stylizowane są co prawda na pochodzące sprzed stuleci, ale żadne nie ma więcej niż kilkudziesięciu lat. Klienci i tak kupują je nie da samego ich wyglądu, ale też dla ich użyteczności.

Choć w oczach wielu z nich funkcjonują one na tej samej zasadzie co omawiane tu już wcześniej amulety i talizmany, to niektóre z nich mają również zgoła mniej ezoteryczne zastosowanie – są sygnetami. Symbole i godła na nich wyryte, albo drogie kamienie o określonym pochodzeniu, gwarantują niekiedy wstęp, albo nawet ciepłe przyjęcie w miejscach z reguły niedostępnych, takich jak rezydencje bogatych rodów czy kryjówki wpływowych gangów (czasem zresztą i to i to jest przecież i tak jedynym i tym samym). Tym zaś, którzy nie mają ochoty babrać się w całą tę dyplo-

mację i gadaninę jaka idzie w parze z posługiwaniem się sygnetami pozostają zawsze różnej maści kastety i szpadryny. Niezbyt subtelna to broń, bardziej dla rzezimieszków niż bohaterów z krwi i kości, aczkolwiek ma swoich zwolenników, np. pewną małą organizację zrzeszającą walczących o sprawiedliwość kreterów, która kastety sobie zwyczajnie umiłowała i która zawsze zaopatruje się w nie właśnie tutaj.

Pozostał zatem do omówienia towar z najwyższej półki. Innymi słowy – broń. Oczywiście, jak już zostało to powiedziane, sprzedawana tylko tym, którzy mają na nią pozwolenie – nie tylko to formalne, prawne, lecz również to, którego udziela sam Mallard dyskretnym skinieniem swojej głowy, a wiedzieć trzeba, że nie robi tego zbyt często. To, czym dysponuje, to najprawdziwszy w świecie arsenał, nawet jeśli nie największy. I nie są to żadne zabawki dla turystów, drewniane szpady czy pistolety na wodę, lecz rzeczywista, śmiertelnie niebezpieczna broń. Większości z nich ktoś już kiedyś użył, żeby zabić inną istotę rozumną. Ba, z niektórych z nich zabijano nawet olbrzymów. Mallard mógłby sam jeden w pełni uzbroić oddział dobrze wyszkolonych komandosów-wojowników i jeśli nie nic innego, to właśnie to czyni go kimś, z kim w tym mieście należy się liczyć.

Była tu już mowa o wschodnich katanach cieszących się tak dużą popularnością, ale kaczeniec sprzedaje też inne miecze i w ogólne broń do walki w zwarciu, na krótkim dystansie, z tym, że nie schodzi ona aż tak dobrze. Co z tego, że można tu kupić potężny, dwumetrowy miecz wykuty przez owiany mitami zakon ślepych mysich mnichów żyjących na strychach dzwonnic w miejskich katedrach a ochrzczony przez nich mianem Świętego Zabójcy, jeśli można też kupić katanę? Kto by chciał mieć sztylet o ostrzu zatrutym najnowszą substancją wynalezioną przez szalonego alchemika która powoduje nieodwracalne szaleństwo, jeśli może zamiast tego mieć katanę? Na co komu pałki teleskopowe, kije elektryczne, topory które same wracają do ręki po rzuceniu nimi, ostrza o laserowej krawędzi i takie, którymi da się sterować za pomocą myśli, rapiery zdolne do przebicia się przez ścianę z litej stali jeśli tylko dobrze wymierzyć cios, pałasze które zdają się nie ważyć nic i młoty, które podnieść mogą tylko najwięksi siłacze... Owszem, niektórzy je kupują, nic jednak nie jest w stanie przyćmić popularności zwykłej, chciałoby się wręcz rzec – pospolitej – katany.

Poza tym nie możemy również przecież zapominać o tym, że czasy świetności tego typu broni bezpowrotnie minęły i nawet jeśli jakiś śmiałek do perfekcji opanował walkę długim kijem albo jest wyborowym miecznikiem, to jeżeli nie będzie potrafił sobie poradzić za ich pomocą z byle facetem w szarym garniturze uzbrojonym w Tommy guna, to nic mu te talenty nie dadzą i nie ma co liczyć na świetlaną karierę w tym fachu. Nie jeden już mściciel wyskoczył znienacka na grupę łotrów, zaczął wściekle wymachiwać floretem czy inną naginatą i po sekundzie padł ze zdziwioną miną od kul lecących w jego stronę szybciej niż był w stanie choćby mrugnąć oczami.

Jeśli komuś niemiły taki los, nie ma nic złego w wyposażeniu się w coś skuteczniejszego i na dłuższe dystanse, nawet jeśli klasyczni herosi plują na taką opcję z pogardą i prędzej zginą w walce na pięści niż chwycą w dłoń rewolwer. Szkoda, bo Mallard ma i coś dla nich. Okazuje się na przykład, że tajemniczy mysi mnisi z katedr, bazylik i kościołów parają się nie tylko kuciem mieczy, potrafią też wyryć święte runy i symbole na tej czy innej giwerze, oczywiście za odpowiednią opłatą. Pewna sędziwa gołębia rusznikarka, stara znajoma kaczeńca, specjalizuje się z kolei w wyrabianiu pukawek jedynie z najczystszej meteorytowej stali. Zaopatruje go też ona w cały zbiór eksperymentalnej amunicji swojego własnego projektu, czasem niestety słabo opisanej, tak, że ten, kto odważy się jej użyć może za każdym razem liczyć na małą niespodziankę.

Jeśli ktoś jest zaś większym tradycjonalistą, nic nie stoi na przeszkodzie, by pójść w ślady największych ludowych legend i skorzystać z łuku, albo może nawet bumerangów, które rdzenna izba ludowa jakimś cudem przeoczyła podczas ostatniej swojej wizyty. Stara, porządna kusza harpunowa to też jest zawsze jakieś rozwiązanie. Ci którzy już raz to zrobili przysięgają również, że nie ma większej frajdy nad tą, gdy rzuca się grupie przeciwników w twarz granatem dymnym, a potem znika sprzed ich oczu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. No i nie ma już chyba większej klasyki jak samotny mściciel, najlepiej w długim płaszczu i kapeluszu, który błyskawicznym gestem wyciąga ze swej kabury sześciostrzałowy rewolwer, najlepiej taki z okładkami z drewna sandałowca. Jest nawet taka pogłoska, która głosi, że za każdym razem, gdy w mieście zza chmur wychodzi słońce ktoś ginie w pojedynku

strzeleckim jeden na jeden z przeciwnikiem dzierżącym sześciostrzałowiec zakupiony u Mallarda.

Czasem (rzadko, bo rzadko) pojawia się tu również i bardziej wybredny klient bądź klientka. Ktoś, komu broń, nawet ta najbardziej zabójcza, już nie wystarcza. Ktoś, kto potrzebuje dodatkowego kopa aż u samych fundamentów tego, kim jest, jakieś gwałtownej zmiany, interwencji w najgłębsze podstawy swojego dotychczasowego życia. Wymaga to niezłej odwagi i nie jest to decyzja, którą podejmuje się pochopnie. Kaczeniec to wie i niektórych spośród tego typu gości odsyła z kwitkiem, wiedząc lepiej niż oni sami, że jeszcze wcale nie są gotowi, by zafundować sobie wszczepy.

Nowa, silniejsza ręka, nowa, sprawniejsza noga, nowe, bystrzejsze oko – cuda współczesnej technologii potrafią to wszystko. A choć prawo w zasadzie zabrania produkowania tego typu urządzeń w celach innych niż protetyka dla nieszczęśników, którzy swoje kończyny stracili w sposób naturalny, i to za wydawaną imiennie licencją, to nie zabrania, techniczne rzecz biorąc, ich odsprzedaży. Ani, co ciekawe, garażowej, chałupniczej modyfikacji, toteż nic dziwnego, że niektórzy domorośli majsterkowicze potrafią domontować do już gotowych wysokiej klasy protez dajmy na to ukryte ostrza czy broń palną, albo nawet coś jeszcze bardziej specjalnego, jak np. układ znacznie przyśpieszający reakcje ciała. A niektóre owoce pracy tego typu chałupników wiszą potem w sklepiku w starej rynnie pod drewnianym sufitem, zawieszone na stalowych łańcuchach.

Handel wszczepami to brudny biznes i Mallard jest tego doskonale świadomy, toteż uprawia go, jak się zdaje, bez serca, połowicznie, niezbyt się doń przykładając. Kto wie, może przeszkadza mu fakt, że nabywcy augmentacji muszą jeszcze fatygować się do tego obłąkanego rzeźnika-chirurga który ma warsztat dwie przecznice dalej żeby móc sobie te cacka w ogóle zamontować. Być może żałuje tej jednej sprawy, że kiedyś sprzedał pewnemu mocno podejrzanemu typowi sztuczne oko z doskonałym powiększeniem, a on potem okazał się być zwykłym seryjnym podglądaczem, przyłapanym na dodatek na gorącym uczynku przez byle gliniarza, co było dla wszystkich bardzo kompromitującym i w sumie żenującym doświadczeniem. A może po prostu nie podoba mu się, że ten rynek wymaga wykupywania własności i tak już pokrzywdzonych przez los biedaków. Kto to wie? Mimo wszystko przy-

nosi mu to jednak spore zyski, więc trudno się dziwić, że jego nastawienie jest ambiwalentne, a nie od razu wrogie. Interesy sklepikarza mają w końcu dla niego znaczenie nadrzędne.

Jest jeszcze jeden rodzaj towaru, który można kupić u Mallarda. Można by wręcz argumentować, że to właśnie on jest najcenniejszy. Zdarza mu się go sprzedać rzadko, naprawdę rzadko. Może raz na dwa, trzy miesiące, co dla istot żyjących tak krótko jak przedstawiciele mniejszych ras oznacza kilka setnych długości całego ich życia. Dołączenie nowych egzemplarzy towaru tego rodzaju do oferty sklepiku to równie rzadka okazja. A jednak się to opłaca, są to bowiem obiekty o tak zawrotnych cenach, że stać na nie chyba tylko najlepiej usytuowanych obywateli miasta. Albo tych spośród herosów, którzy na drodze swojej kariery dorobili się całych stosów cennego łupu. Na jedno w zasadzie wychodzi, choć trudno orzec, czy któryś z tych ostatnich rzeczywiście byłby tu zainteresowany zakupem.

O czym zatem mowa? Otóż: z tyłu sklepiku, na krawędzi wanny za Mallardem, między wspomnianymi już różnego rodzaju walizkami bądź aktówkami stoją ułożone w prezentacyjnej pozie na manekinach pełne zestawy superbohaterskiego wyposażenia. Zbroja, peleryna, maska, pas, gadżety, rękawice, obuwie, słowem – wszystko, czego tylko potrzeba, by z dnia na dzień stać się walecznym herosem, a przynajmniej móc się za takiego podawać. No właśnie – podawać, bowiem tu nie chodzi tylko o same fizyczne przedmioty (choć są one niezwykle cenne), lecz o całą tożsamość. Kupując bowiem taki komplet u kaczeńca nie kupuje się tylko tego co namacalne, lecz również pisemnie poświadczone prawa do konkretnego heroicznego nazwiska.

Czasem zdarza się, że jakiś bojownik sprawiedliwości, znany i zasłużony w całym mieście, postanawia przejść na emeryturę, cytując czy to powody zdrowotne, czy chęć spędzania większej ilości czasu z rodziną, czy też załamanie nerwowe po ostatniej walce z superzłoczyńcą który porządnie namieszał mu w głowie swoimi umysłowymi gierkami. Odwiesza wtedy, jak to się mówi, swoją pelerynę na wieszak i składa sprzęt do kufra. Część z takich bohaterów-emerytów przechowuje później swoje insygnia całymi latami, być może w charakterze pamiątek albo licząc na nieunikniony ewentualny chwalebny powrót, o którym marzą siadując w swych wygodnych fotelach w długie deszczowe popołudnia. Inni zrzucają taki kufer zaraz po

jego spakowaniu do rzeki z jednego z miejskich mostów i nigdy więcej nie oglądają się za siebie. Jeśli jednak żadna z tych opcji nie wydaje się im atrakcyjna, a gotówki im w portfelu jakby brakuje, koniec końców zawsze mogą również odsprzedać to wszystko (wraz z prawami autorskimi do swojego loga i nazwiska) Mallardowi. Dobrze wiedzą, że on da im za to uczciwą cenę, być może nawet uczciwszą niż kiedykolwiek wcześniej. A to dlatego, że Mallard doskonale wie, że na miejsce każdego emeryta już gdzieś czeka jakiś młody śmiałek, który z radością będzie nosił imię po jednym ze swy wielkich poprzedników, weteranów. W końcu przejmowanie schedy przez młodszych to jeden ze świętych elementów superbohaterskiego etosu, prawda? Cóż jest złego w tym, że Mallard też chce w nim brać udział, pełniąc skromną jak zawsze rolę odpłatnego pośrednika?

Appendix do części IV. Krótki ustęp o stryszku

Pamiątki z dawnych lat. Zapomniane szpargały.
Wspomnienie o innym Mallardzie.

Osobny ustęp, nawet jeśli króciutki, poświęcić należy mallardowemu stryszkowi, i na nim bowiem znajdują się rzeczy dosyć ciekawe, choć większość z nich zdaje się być zapomniana nawet przez ich nieprzeciętnie skrupulatnego właściciela.

Poniżej nieustanie wypluwającego z siebie dym wylotu rury wychodzącej z piecyka grzejącego sklepik kaczeńca, pod skosem nieustannie obijanej kroplami deszczu zielono-białej markizy, na szeregu chybotliwych desek stanowiących sufit nad głową Mallarda znajduje się jego niewielki stryszek, gdzie upchnął szpargały, na które nie miał miejsca ani w swoim sklepie, ani nawet w swoim magazynie. Nie ma ich tam zbyt wiele, bo i sam stryszek jest malutki, niemniej wciąż leżą jakby na widoku i zwracają na siebie uwagę zadzierających swoje głowy w górę klientów, stanowiąc integralną część wystroju „U Mallarda". Budzą one... dziwne skojarzenia. Zdają się pochodzić z dalekiej przeszłości ich właściciela, właściwie innego życia, w którym musiał on chyba być zgoła kimś innym. Kim jednak? Na to pytanie trudno jednoznacznie odpowiedzieć.

No bo właściwie kto, być może poza niezwykle bogatymi kolekcjonerami, ma w swoim posiadaniu okuty złotem pełnowymiarowy kieł słoniowca albo wysoką na

ponad metr zdobioną świętą świecę z białego i czerwonego wosku? Oba te bezcenne przedmioty wydają się zresztą stare, znacznie starsze niż sam kaczeniec, być może nawet starsze niż kamienica przy której mieszka. Skąd, u licha, on je wytrzasnął?

Wśród tych spośród jego patronów którzy zadają sobie tego typu pytania istnieją dwie hipotezy. Pierwsza głosi, że ktoś zatrudniony przez sklepikarza (bo przecież nie on sam!) zrabował kiedyś te skarby z jakieś starożytnej świątyni, której położenie cwany kaczeniec wyczytał z jednej z tych swoich map. To brzmi całkiem sensownie, prawda? Chyba nawet bardziej sensownie niż druga hipoteza, w myśl której Mallard otrzymał te relikwie od kogoś w charakterze zapłaty za jakiś inny przedmiot. No bo co mogło być tyle warte, by oddać za to kieł słoniowca lub świętą świecę?

Obecność dominującej to wnętrze niewielkiej drewnianej łódki jest już bardziej uzasadniona. Wielu z tych, którzy mieszkają w rynnach albo w rynsztokach, albo też przy kanałach burzowych posiada jakiś kajak albo ponton, tak na wszelki wypadek. Co prawda leżąca na stryszku szalupa jest na tyle wąska, że można by się zastanawiać, czy Mallard by się w niej w ogóle zmieścił, ale może po prostu pełni tu ona bardziej funkcję talizmanu odganiającego powodzie. No i dekoracyjną, bo prezentuje się, trzeba to przyznać, całkiem ładnie. Być może pewną rolę pełni w tym fakt, że jest pięknie wykonana, z porządnego, lśniącego drewna z ozdobnymi rycinami, co sprawia, że również trochę wygląda jak jakiś dawny skarb, co w sumie daje do myślenia...

Pomiędzy zwykłymi, kartonowymi pudłami, przypuszczalnie mającymi w sobie jedynie pospolite klamoty, wyróżniają się też dwie skrzynki, mniejsza i większa, leżące w tyle, niemalże przy samej krawędzi i jakby żywcem wyjęte z romantycznej historii o piratach. Czy to rzeczywiście możliwe, by w niezmąconym spokoju leżała w nich cała sterta złotych monet, biżuterii, sreber rodowych i drogocennych klejnotów, tak jak w tych historiach? Niektórzy twierdzą, że tak. Są nawet tacy, którzy zarzekają się, że tak jest i że sam Mallard pochwalił im się zawartością tych skrzyń. Czy jednak można im wierzyć? A może nie ma tam nic poza zwykłymi rupieciami? Albo, co być może nawet jeszcze ciekawsze od pospolitych skarbów, w skrzyniach tych są pamiątki z młodzieńczych lat kaczeńca? Może nawet jakieś czarno-białe fotografie albo krępujące rodzinne sekrety?

Wystroju dopełniają dwa obrazy i gobelin, które wiszą wprost na ceglanej ścianie kamienicy. Gobelin wygląda z daleka jak ozdobny dywan i wielu go już z nim pomyliło (myśląc nawet zapewne dodatkowo, że posiada on mistyczne moce unoszenia się w powietrzu), ale to raczej prawdziwy arras, taki, jakich się dzisiaj już nie robi, z ręcznie barwionej i plecionej tkaniny. Przedstawiona na nim leśna scena ma w sobie jakąś melancholię i tęsknotę za utraconym światem, podobnie zresztą jak na dwóch wiszących obok obrazach. Być może właśnie dlatego Mallard je tu schował, że nie chciał, by mu o czymś przypominały? Doprawdy zabawne jednak, że zamiast zwinąć gobelin i położyć obrazy przodem do ściany zaaranżował to tak, że wiszą one tak jak powinny, tyle że w niedostępnym z reguły dla jego wzroku miejscu. Być może chciałby je mimo wszystko sprzedać i w ten zawoalowany, niepozbawiony nutki nostalgii sposób prezentuje je potencjalnym kupującym?

Na pewno na sprzedaż jest te kilka obiektów stojących blisko wewnętrznej krawędzi stryszku, na widoku klientów, nieszczęśliwie wciśniętych między łódkę a ścianę kamienicy. W ten sposób na krótką chwilę powracamy do asortymentu Mallarda, by przyjrzeć się ostatniemu już rodzajowi towarów, jaki ma on u siebie na sprzedaż. Jest to zupełna nowość na rynku i dlatego chyba kaczeniec nie znalazł na nią więcej miejsca pięterko niżej.

Mowa tu o tych wszędobylskich latających gadżetach, które niektórzy określają mianem latających szpiegów, a inni po prostu dronów. Stały się one modne minionego sezonu, gdy zauważono, jak najwięksi miejscy herosi posługują się nimi by dokonywać napowietrznego zwiadu i infiltracji. Teraz każdy chce je mieć, problem polega jednak na tym, że nie każdy potrafi je obsługiwać. Na każdego mściciela, który za pomocą takiego drona potrafi przelecieć bezgłośnie nad bazą złoczyńców, oznaczyć patrole wszystkich kręcących się tam zbirów i wszystkie słabe punkty trafi się też byle chłystek, który niechcący wleci takim dronem w tłum cywili, spowoduje niepowetowane szkody i będzie się musiał potem gęsto tłumaczyć. Nieważne, czy sprzęt kupiony od kaczeńca ma opcję kamuflażu, potrafi strzelać usypiającymi strzałkami czy posiada własną, quasi-samoświadomą sztuczną inteligencję – jeżeli kupujący go miałby się okazać pozbawionym talentu technicznego pacanem, będzie z tego więcej szkody niż pożytku.

To samo, i to w dwójnasób, tyczy się stojącego za dronami Świętego Graala bohaterów, na widok którego ślinka cieknie wielu z tych, którzy tu przychodzą. Wielu w pierwszej chwili nie może uwierzyć swoim oczom. A jednak, jest to prawda. U Mallarda nabyć można nawet (oczywiście za odpowiednią cenę) najprawdziwszy plecak odrzutowy. Choć stoi tu on już od długich miesięcy, nie ma wątpliwości, że jest w pełni sprawny i kiedyś wreszcie nadejdzie taki dzień, że pewien śmiałek, który przybędzie w to miejsce na własnych stopach odleci z niego za pomocą tego właśnie jetpacka.

Część V. Klientela

Gdy jesteś mścicielem i co noc walczysz z legionami wrogów,
potrafisz naprawdę docenić te chwile, gdy spotykasz starego przyjaciela.

Jakkolwiek dobrze wyposażony i wypełniony po brzegi ciekawymi ustrojstwami by sklepik „U Mallarda" nie był, to nie w jego asortymencie leży jego największa siła, a przynajmniej nie tylko w nim. Przyznać bowiem trzeba, że choć kaczeniec ma u siebie na stanie rzeczy bardzo ciekawe, a niektóre nawet fascynujące, to większość normalnych obywateli nie chciałaby zapewne tknąć sporej ilości z nich nawet palcem. Cała sztuka polega zatem nie tylko na tym, by wszystkie te obiekty zdobyć i zgromadzić w jednym miejscu, ale też na tym, by umieć zawsze znaleźć tych, którzy zechcą je kupić.

Klientów i klientek Mallardowi nie brakuje, choć nie ma ich wcale nawet w przybliżeniu tylu, co te rozbudowane, świetliste markety do których można wejść z poziomu chodnika, a które obiecują naiwniakom, że za grosze uczynią z nich wojowników których należy się lękać. Nie ma jednak na co narzekać, bo jeżeli taki sieciowy market odwiedzi danej nocy, powiedzmy, kilkaset osób, albo i kilka tysięcy, a Mallarda w porywach kilkanaście (oczywiście w obu wypadkach mowa o wielokrotnych wizytach), to on i tak wyjdzie na swoje, sprzedając i nabywając przedmioty dalece cenniejsze i wyższej klasy, takie, o jakich śmiałkowie kupujący w marketach mogą jedynie marzyć w wolnych chwilach.

Poza tym, wizyta u Mallarda to nie jest byle wyjście do sklepu po bułki i zapas tanich bombek dymnych. Wręcz przeciwnie, jest to zawsze wydarzenie, spotkanie.

Niektórzy mściciele wcale nie kryją się z tym, że przynosi im ono każdorazowo sporą radość. No bo pomyślmy: wyobraźmy sobie, że jesteśmy postrachem nocy, mroczną siłą sprawiedliwości. Realistycznie rzecz ujmując i nie dając się zwieść romantycznym wizjom znanym nam z kart powieści rysunkowych jest to bardzo ciężki fach, w którym ma się styczność z najgorszym, co tylko istoty rozumne są w stanie na tym świecie zrobić. Pobicia, kradzieże, zabójstwa, seryjne morderstwa... Nic zatem dziwnego, że skacząc od jednej sceny zbrodni do drugiej, piorąc prawdziwych zwyrodnialców po ich zakazanych mordach i spędzając większość czasu w deszczu, błocie i krwi widok przyjaznej, naprawdę przyjaznej twarzy, ciepła herbata oraz sympatyczna rozmowa z kimś, kto widząc nas nie wypluje z siebie serii szkaradnych wulgaryzmów jest czasem czymś, co ceni się najbardziej na świecie. To jak z piciem porannej kawy albo z popołudniową drzemką – jest to rytuał, który celebruje się z przyjemnością.

Oczywiście u Mallarda zaopatrują się nie tylko tego typu herosi, ale o to na razie mniejsza, bo to właśnie oni mają zdecydowanie największy udział procentowy w jego klienteli. Jest ich w całym mieście całkiem sporo, choć ilu dokładnie, tego nie wie nikt, bo przecież ich pseudonimy nie figurują w żadnym spisie powszechnym, a poza tym każdego miesiąca pojawiają się nowi śmiałkowie. Niektórzy zostają potem w tym fachu na lata, inni już po pierwszej nocy dają sobie spokój. Co prawda duże wydawnictwa zbierające historie o nich prowadzą własne długie listy bohaterów i złoczyńców, publikując je w różnorakich almanachach, ale żeby za nimi w jakikolwiek sposób nadążyć trzeba być prawdziwym fanem. No, albo Mallarderm. Dla niego są to informacje biznesowe.

Pierwszym i najstarszym klientem Mallarda, a przez wielu również najbardziej szanowanym, jest tajemniczy Pan Secrétaire, sędziwy fenek w charakterystycznym długim płaszczu, który strzeże tego właśnie rewiru już od bodaj kilkudziesięciu księżyców. Istnieje legenda w myśl której dawno, dawno temu młody i niedoświadczony jeszcze Pan Secrétaire został pokonany i dotkliwie pobity przez grupkę najzwyklejszych w świecie rzezimieszków, którzy zepchnęli go z dachu do rynny i tak zostawili, żeby biedak w niej wykitował. Wtedy właśnie młody fenek, półprzytomny z bólu, ujrzał w oddali jakieś zielone światło i ostatkiem sił zaczął czołgać się w jego stronę. Światłem tym był, a jakże, neon reklamujący nowo otwarty sklepik, którego

właściciel, również młody podówczas kaczeniec zauważył nieszczęśnika i zaopiekował się nim, w ten sposób zyskując swojego pierwszego stałego klienta.

Jest to niemalże na pewno historia apokryficzna i nic takiego nigdy nie mało miejsca, natomiast faktem historycznym jest, że patronat Pana Secrétaire, któremu niezwykła charyzma i wprawa w posługiwaniu się płaszczem i szpadą przysporzyła na przestrzeni miesięcy wielkiej sławy, miał dla powodzenia sklepiku „U Mallarda" niebagatelne znaczenie. Dzisiaj odwiedza go, naturalnie, dużo więcej tego typu sław niż tylko będący na granicy bohaterskiej emerytury Pan Secrétaire. Jest na przykład młodzik imieniem Postrzałka, niezwykle zwinny myszak o niepokojąco dużych stopach; albo Śmiłgoskrzydły, jaskólczak przemierzający przestworza między kamienicami gigantów na skrzydłach własnego projektu; albo też jeżyczka Sjena, sędziwa i mądra czarodziejka, którą niektórzy mają jednak za szarlatankę i oszustkę; nie wspominając już o kreterze znanym po prostu jako Walący-w-Mordę. Są Młot i Kowadło, bracia wydrale o ponadprzeciętnej sile i jest Hematyt, co do której to tajemniczej osoby nikt właściwie nie ma pewności, jakiej jest rasy i proweniencji. Walhalla to wspaniała wiewiórcza wojowniczka władająca starożytną włócznią tytanów, za pomocą której jej przodkowie ponoć niegdyś zabijali psożerców i kotołaki, zaś jej ukochany Ipsylon to hacker, który potrafi ponoć czytać ludziom w myślach za pomocą komputera. Awangarda to grupa artystycznie uzdolnionych wojowników pozostających w nieustannej rywalizacji z Drużyną Światłości, której członkowie nie tylko są herosami, ale i członkami koła rekonstrukcyjnego. Jest nawet jeden kaczeniec, który każde na siebie wołać Kaczka Mroczne Skrzydło i który lubi powtarzać, że jest z Mallardem blisko spokrewniony, nawet jeśli nigdy nie potrafi tego udowodnić. A jednak jest ktoś jeszcze, ktoś, kogo sława przyćmiewa ich wszystkich. Ktoś, kogo wyczyny regularnie trafiają na pierwsze strony gazet, i to wcale nie tych tanich kolorowych brukowców, tylko poważnej, czarno-białej, szanującej się prasy. Być może najzdolniejszy, a na pewno najbardziej chwalony bohater swoich czasów. Astronauta.

Astronauta zadebiutował w świadomości publicznej parę miesięcy temu i od tamtej pory osiągnął astronomiczną (*nomen omen*) popularność. W rzucającym się w oczy jaskrawobiałym, metalicznym stroju, z hełmem o nieprzejrzystym, złociście czarnym wizjerze i wyposażony w piękne stalowe skrzydła, które nie mają na zdro-

wy rozum najmniejszych szans unosić go w powietrzu, a jednak jakimś cudem to robią, poruszający się z niemożliwą szybkością Astronauta stanowi widok doprawdy zapadający w pamięć. Zdarza się czasem, że Mallard, wyglądając zza swojej zasłonki, ma okazję podziwiać jego niezwykłe wyczyny w alejce daleko w dole, jak wywija pętle w powietrzu, ratuje niewinnych i karze tych, którzy mu czymś zawinili, pomaga starszym paniom w przejściu przez ulicę i generalnie sprawia wrażenie bardzo porządnego, miłego gościa.

Prywatnie Astronauta jest, niestety, aroganckim dupkiem, który troszczy się jedynie o to, jak jest postrzegany przez innych, i Mallard doskonale o tym wie, ale ten arogancki dupek jest dobry dla biznesu, mając w zwyczaju beztrosko wydawać nieprzyzwoicie duże sumy pieniędzy, które bierze Bóg jeden wie, skąd. I dlatego właśnie kaczeniec toleruje go w swoim sklepie, nawet gdy ten zachowuje się niezbyt uprzejmie względem innych klientów. Być może pewnego dnia Astronauta przebierze miarę i zostanie stąd raz na zawsze wyproszony, i cała jego potęga i wszystkie zdolności na nic zdadzą się w starciu z uporem Mallarda i poparciem jakie ma on u pozostałych herosów, na razie jednak do tego nie doszło i chyba obaj woleliby, żeby tak pozostało.

Można by zresztą o różnych superbohaterach kupujących w tym sklepiku mówić jeszcze bardzo długo i z rozlicznymi boleśnie precyzyjnymi szczegółami, ale cały wic na tym polega, że to nie jest historia o nich. Za dużo się o nich mówi. To jest historia o sklepikarzu.

...sklepikarzu, który, dodajmy, zna sekretną tożsamość każdego swojego heroicznego klienta, nawet niezwykle skrytego Pana Secrétaire'a i nawet Astronauty, z którym nie wiążą go znowu aż tak bliskie stosunki. Ma na to swoje najróżniejsze sposoby, z reguły jednak i tak nie musi ich stosować, bo ten najprostszy, trywialny, zawsze działa. Po prostu jest tak, że noszenie na głowie maski albo nawet hełmu przez dobre kilka, bądź nawet kilkanaście godzin jest najzwyczajniej w świecie niewygodne i jak już człowiek znajdzie chwilę spokoju podczas całego tego zamieszania, to aż go korci, żeby to coś z głowy choć na krótką chwilę zdjąć. I robią to, naprawdę to robią. Mallard sprawia, że czują się u niego aż tak bezpiecznie. Wiedzą, że ten sprytny, ale jakże dyskretny kaczeniec nigdy nie wykorzystałby tej wiedzy przeciwko nim, nawet przyparty do muru przez najgorszych złoczyńców.

Skoro zaś o złoczyńcach mowa, to dla niektórych niezłym zaskoczeniem bywa fakt, że oni też czasem się tu zaopatrują. Co prawda nie ci najgorszej maści, pozbawieni wyobraźni bossowie ogarnięci przemocą i lękiem o swój status, i nie ci najbardziej obłąkani, których stan umysłu nie pozwala im już trzeźwo oceniać rzeczywistości. Nie, tutaj mowa raczej o tych, którzy mają swój styl, coś sobą świadomie reprezentują, nawet jeżeli jest to coś złowieszczego bądź zwyrodniałego.

Z reguły nie mają dostępu do broni, i to trzeba zaznaczyć od razu. Czasem zdarzają się wyjątki, ale sporadycznie i zazwyczaj chodzi raczej o samoobronę przed herosami którzy sami są dobrze uzbrojeni, a nie o znęcanie się nad niewinnymi. Byłoby to, jak uważa Mallard, z jego strony w złym smaku. Co innego jednak, jeśli czegoś im brakuje do dokonania podstępnej, poetycznej zemsty na swoim heroicznym arcywrogu, mają potrzebę dowiedzieć się, co akurat knują ich równie źli konkurenci albo też zwyczajnie poważnie oberwali podczas ostatniego starcia i muszą się podleczyć jakimś dobrym środkiem, a bardziej nawet wygadać komuś swoje smutki, jaki to ten świat jest wobec nich niesprawiedliwy.

Weźmy na przykład takiego Flittermouse'a. O tak, to nazwisko znają w mieście chyba wszyscy, i wszyscy, słysząc je, mają podobne skojarzenia – podejrzany szelest nad głową, krzyk przerażenia i jakiś mroczny cień, który znienacka opada w dół, z powietrza, i przysłania gwiazdy i księżyc, tak, że nie ma już nic, pozostaje jedynie ciemność. Podniebny horror, krwiopijca.

Nikt do końca nie wie, jakiej jest rasy. Wielu wrednych i złych szczurowców chciałoby wierzyć, że jest ich współziomkiem, ale czy ktoś kiedyś widział szczurowca, który miałby skrzydła? Być może więc jest tym rzadkim ptakiem, sowczykiem? To wyjaśniałoby skrzydła, ale nie to, dlaczego skrzeczy zamiast raczej pohukiwać, i dlaczego ma małe, paciorkowate oczka i olbrzymie uszy. Zdaje się zatem, że Flittermouse nie przynależy do żadnej zgoła znanej nam rasy. Czym więc jest? Wynikiem chorych eksperymentów jakiegoś szaleńca? Reliktem z prazamierzchłych czasów? Kosmitą?

Ale Flittermouse pozostaje być może największą tajemnicą świata herosów i złoczyńców nie tylko ze względu na swoje pochodzenie. Tak niewiele o nim wiadomo. Czy to prawda, że wysysa krew ze swoich ofiar? Dlaczego miałby to robić? Jak to możliwe, że zdaje się mieć poważne problemy ze wzrokiem i unika światła,

a i tak potrafi nocą nawigować zawiłymi uliczkami miasta bez najmniejszego problemu? Czy jest możliwym, że naprawdę lata szybciej, sprawniej i wyżej niż dowolna inna istota w całej metropolii? I czemu w ogóle popełnia tak wiele niesprawiedliwości?

Cóż, być może Mallard to wie. Powiadają, że jest jedyną osobą, z którą Flittermouse w ogóle rozmawia. Więcej, krążą szeptane pogłoski, jakoby Mallard karmił Flittermouse'a specjalną herbatą z krwią najszlachetniejszych obywateli miasta, uzyskaną bogowie tylko raczą wiedzieć jak, a wdzięczny Flittermouse wychrapuje mu do ucha największe sekrety które jego wielkie, niezwykle wyczulone uszy wyłapują z dołu gdy nocny horror leci wysoko ponad szczytami najwyższych wieżowców. Są to jednak prawie na pewno tylko złośliwe pogłoski. Prawie... Tak czy inaczej na temat Flittermouse'a pewne jest jedno: stare matki uwielbiają straszyć swoje pociechy słowami: „Zachowuj się, albo przyleci Flittermouse i cię zbierze!".

Są też inni. Bizmut, na ten przykład, to jedyny w swoim rodzaju karłowaty kamienny olbrzym mający trzy metry wzrostu i z tego powodu preferujący życie wśród mniejszych ras jako gigant niż wśród swoich pobratymców jako karzełek. Po swoich większych kuzynach dziedziczy tytaniczną siłę, ale i powolność, różni się od nich natomiast zupełnie zamiłowaniem do przemocy. „U Mallarda" od czasu do czasu zaopatruje się też niejaki Profesor Labora, jeden z najbardziej znanych szalonych naukowców swojej epoki, szczurowiec o białym futerku i czerwonych ślepiach uwielbiający eksperymentować na innych szczurowcach. Balling, kunak z wiecznie naoliwionymi wąsikami, to wytrawny kasiarz i mistrz ucieczek, który kupuje tu swoje najlepsze wytrychy, a jego największą rywalką jest biegle władająca szpadą gołębka, na którą wołają Doña Paloma. Wszyscy wiedzą również, że interesy z kaczeńcem robi także wielki mafijny boss, Aragoński, przebiegły jaszczurzec, który osobiście pojawia się jednak w starej rynnie tylko od wielkiego dzwonu i zawsze z obstawą. Jest również i zamaskowana fenka, Lou Dziewiąta, która opanowana jest rządzą zemsty na wszystkich przedstawicielach swojej rasy i która wprost uwielbia katany – nikt chyba nie kupił ich tu tyle, co ona. W pobliżu kręci się również wielu kreterów, członków uwielbiającego wszczepy gangu Sztormowców pod przywództwem jednookiego Szpondera, który w większej części jest już maszyną niż żywym organizmem. Niektóre zamówienia Mallard otrzymuje z kolei jedynie telefonicznie, w słu-

chawce słysząc tylko zakodowaną serię sygnałów. Wie wtedy dobrze, że ma do czynienia z Inteligencją, cyfrowym bytem, który uciekł z wojskowych laboratoriów i ponoć powoli buduje dla siebie odpowiednie ciało, które przejąwszy siać będzie chaos i zniszczenie wśród wszelkich istot żywych. Inne przykłady obejmują trio wiewiórаków – uzdolnionych hipnotyzerów, Braci Symbol, którzy uciekli z cyrku w którym się nad nimi znęcano, czy też wiecznie ubraną w czarne szaty wydralkę Lady Nekrozę, okultystkę i przywódczynię sekretnego kultu czcicieli choroby i zepsucia, do którego ponoć należy tak wielu sławnych aktorów, sportowców i polityków. No i na koniec nie wypada również nie wspomnieć o miłującym wielkie, barwne kapelusze i mającym bardzo głośny styl wiewióraku, Dumasie, bo choć w świecie superprzestępców nikt nie traktuje go zbyt poważnie, to pojawia się on „U Mallarda" nadzwyczaj często i zawsze prosi i błaga sklepikarza, by ten sprzedał mu jakąś porządną broń.

I to tyle, jeżeli chodzi o superbohaterów i wiecznie z nimi skłóconych superzłoczyńców. Oczywiście Mallard przyjmuje również u siebie innych – bogatych i wpływowych celebrytów w ich latających maszynach, zawsze eleganckich agentów wywiadu, gilny-weteranów znających to miasto niemalże równie dobrze jak on sam, najlepszych spośród dziennikarzy śledczych, tajemniczych mnichów i skrytych wędrowców, nieszczęśliwie zakochanych przedstawicieli szlachty szukających drogi ucieczki z miasta dla siebie i swojej drugiej połowy, ulicznych oratorów oraz wspomnianych już tutaj rodzinkę wydrali, kreciego profesora lingwistyki, przedstawicieli izby ludowej rdzennych mieszkańców tych ziem oraz dostawcę uzupełniającego braki w jego automacie. Ba, zdaniem niektórych w noc zimowego przesilenia zatrzymuje się tu sam Święty Myszkołaj by skosztować rozgrzewającego miodu pitnego, a Ząbkowany Wróż odsprzedaje Mallardowi swoje co ciekawsze znaleziska w nocе pełni księżyca. Wszystko to (może poza tymi ostatnimi dwoma, bądźmy wszak poważni...) są członkowie klienteli sklepiku w starej rynnie nad zapomnianą alejką.

Część VI. Jak to jest – kupić coś „U Mallarda”?

Opis przebiegu typowej wizyty w najbardziej nietypowym sklepiku miasta.

No dobrze, wiemy już zatem kto się u Mallarda zaopatruje, nie mówiąc już o tym, w co i właściwie dlaczego (każdy ma swoje powody). Wciąż jednak zapytać możemy, by naszej ciekawości już do reszty uczynić zadość i by dowiedzieć się kilku ostatnich zgoła ciekawostek: jak właściwie przebiega taka typowa wizyta „U Mallarda”? Pytanie to warto postawić, bo choć każda z tych wizyt jest inna, to wiele z nich naprawdę przebiega rozpoznawalnym, ustalonym torem tak znajomym dla wielu wielkich herosów i nikczemnych kryminalistów. Czasem wydaje się, że bliska znajomość tego przynoszącego skądinąd dużą dozę satysfakcji rytuału jest jedynym, co łączy te dwie grupy.

Cóż, zacząć należy od tego, że istnieje ogromna różnica między tym, czy zbliżając się do starej rynny zauważymy, że pod sklepikiem stoi kolejka, czy też nie. Jasne, większość wizyt tutaj odbywa się bez czekania w kolejce, to prawda, są jednak takie noce i wieczory, że zarówno siły sprawiedliwości, jak i niesprawiedliwości działają szczególnie intensywnie, wieczory, w których ciosy padają niekończącymi się seriami, noce, w których dziesiątki skarbców jest rabowanych a setki panów i dam w opresji ratowanych przed niechybną śmiercią. W takie legendarne wieczory, o których potem wspomina się latami, a w które każdy ma tak dużo do roboty, kolejka pod sklepikiem „U Mallarda” zapełnia się. A taka kolejka jest to rzecz zgoła niezwykła, fenomen społeczno-polityczny, o którym można by napisać całą rozprawę doktorską.

Wszyscy klienci wiedzą, że kolejka „U Mallarda” jest gruntem neutralnym, być może jedynym prawdziwym w całym mieście. Kaczeniec nigdy nie dopuściłby, by w jego starej, przerdzewiałej, nie tak znowu stabilnej rynnie wszczęta została jakakolwiek bójka. Potencjalne skutki mogłyby być katastrofalne dla wszystkich zainteresowanych, i dlatego też zawsze panuje tam – niekiedy wynegocjowany z wielkim trudem – porządek. Nie ma priorytetów, nie ma przepychanek, nie ma nieporządku, jest po prostu tak, że kto przychodzi pierwszy, zostaje pierwszy obsłużony, kto przychodzi drugi, ten drugi, itd., itp. Z rzadka prowadzi to do dziwnych sytuacji,

w których obok siebie w jednym miejscu stoją znany obrońca sił sprawiedliwości i jego podstępny arcywróg dybający tylko na jego życie, i obaj muszą się opanować, odwrócić wzrok w przeciwną stronę i zacząć gwizdać, udając, że się wzajemnie nie widzą, bo inaczej Mallard odmówi im sprzedania jakiegoś jakże ważnego w tej akurat chwili MacGuffina, a tego żaden z nich by nie chciał. Raz czy dwa kaczeniec rzeczywiście musiał tak zrobić gdy doszło do wymiany ciosów w jego rynnie i powiada się, że ci, których to spotkało do dziś żałują, że się wtedy w porę nie opanowali.

Bywają też sytuacje bardziej przyjemne, np. gdy kolejka „U Mallarda" składa się w całości z samych herosów, albo z samych złoczyńców. W tym pierwszym przypadku dochodzi często do miłych spotkań między starymi przyjaciółmi którzy znają się od lat, ale z oczywistych przyczyn nie widują się za często poza, by użyć cudzysłowu, „miejscem pracy". Zawiązują się też w tej kolejce zupełnie nowe znajomości i sojusze. W rzeczy samej, przynajmniej trzy superbohaterskie grupy i przynajmniej jeden superbohaterski romans miały swój początek, swoje pierwsze źródło właśnie tutaj.

Jeżeli spotykają się z kolei przestępcy, to od razu zaczyna się narzekanie i istna litania skarg na stan współczesnego świata przerywana raz po raz entuzjastycznym potakiwaniem ze strony pozostałych. „Współczesna młodzież w ogóle się już nas nie boi", „wszystkie moje plany z ostatnich kilku dobrych nocy spełzły na niczym przez byle błahostkę, a przecież były genialne", „moja najnowsza maszyna zagłady nie chce działać jak powinna, a jak już zaczęła działać, to zeżarła mi rękę", „czasami to się w ogóle zastanawiam, czy na pewno warto krzywdzić innych i siać w ich sercach przerażenie, jeśli tak ma to wyglądać" – oto typowe lamenty typowo egotystycznych nikczemników.

I w tym miejscu ktoś mógłby zapytać – przecież to bezwzględne oprychy spod ciemnej gwiazdy, co to ustalony porządek społeczny w głębokim poważaniu mają; co im stoi na przeszkodzie, by poczciwego kaczeńca po prostu złupić i ograbić, a najlepiej jeszcze rozszarpać na strzępy, byleby tylko sobie wziąć to, czego od niego pragną? Czemu w ogóle utrzymują całą tę maskaradę z kolejką, z płaceniem za usługi i towar, z byciem *uprzejmym*?

Cóż, jak się okazuje, powstrzymuje ich przed tym całkiem sporo. Przede wszystkim istnieje niezerowa szansa, że śmierć Mallarda ze strony jakiegoś byle łotra rozpę-

tałaby w mieście istne pandemonium, gdy wszyscy znający kaczeńca herosi rzuciliby się jak jeden mąż, żeby go pomścić. Jeśli inni kryminaliści postanowiliby bronić swojego współbrata, rozpętałaby się zapewne wojna na wyniszczenie, wojna totalna. Wtedy nawet olbrzymi odczuliby jej skutki.

Dowód? Bardzo proszę: kiedyś jakichś dwóch frajerów, którzy nie mieli zielonego pojęcia, co robią, postanowiło obrabować sklepik „U Mallrada". Widzicie, kaczeniec wszystkie swoje dochody, całe pieniądze, jakie tylko posiada, trzyma w porządnej roboty i pierwszorzędnej marki pancernym sejfie, niezbyt dużym, stojącym w jego sklepiku tuż obok pieca. (Na sejfie leży też niewielka szkatułka, w której trzyma różnego rodzaju książeczki czekowe, blankiety i inne finansowe dokumenty, których kupujący u niego mogą w danej chwili potrzebować by dopełnić transakcji). No i owi dwaj frajerzy (bo inaczej nazwać ich nie sposób) zauważali sobie ów sejf, a nie wiedząc za bardzo, z kim mają do czynienia, poczekali chwili, aż Mallard będzie sam, podeszli z kominiarkami na twarzach i zaczęli mu grozić bronią, by oddał im ów sejf. Oczywiście kaczeniec próbował wyjaśnić im ich błąd i przekonać, by napadli raczej na kogoś innego, na jakiś łatwiejszy cel, ale frajerzy byli nieubłagani. Najwyraźniej myśleli, że w tej niepozornej rynnie znaleźli przypadkiem po prostu jakiś osiedlowy kiosk. Szybko jednak uświadomili sobie swój błąd, choć bowiem Mallard dał im swój sejf, a oni zaczęli z nim sprawnie uciekać, to, wedle opowieści, nie udało im się zbiec nawet na odległość dziesięciu kroków nim w pobliżu nie pojawili się dwaj szczególnie sławni superbohaterowie i nie spuścili na nich gniewu bożego. Mallard odzyskał swój sejf, a frajerzy mieli dużo szczęścia, że skończyło się dla nich na niezbyt poważnych uszkodzeniach ciała i kilkunastoletniej odsiadce w więzieniu. Nie, napadanie na Mallarda, zwłaszcza gdy się wie, jak jest lubiany w miejskiej społeczności herosów, to istne szaleństwo.

Wracając do przebiegu typowej wizyty – jeżeli jesteśmy sami i nie ma żadnej kolejki, to nam się poszczęściło i możemy sobie pozwolić na nieco dłuższą chwilę odpoczynku. Podchodzimy do lady, witamy się serdecznie z gospodarzem i siadamy sobie wygodnie na jedynym dostępnym tu stoliku. Deszcz pada, ale nam to nie przeszkadza, bo zielonobiała markiza sklepowa nas przed nim osłania. Słyszymy szum opadających kropel, zgiełk wielkiego miasta, bulgotanie ciepłej wody w mallardowej wannie i być może jakieś głosy z jego telewizora. Nagle zdajemy sobie spra-

wę, że maska ciąży nam niemiłosiernie. Odprężamy się, zdejmujemy ją z głowy i kładziemy na ladzie przed sobą. Zasłużyliśmy na tę odrobinę relaksu.

Po pierwsze, Mallard zaproponuje nam coś do picia. Czy będzie to wino, czy jakiś mocniejszy trunek, czy akurat tylko herbata, to zależy tylko od tego, na co akurat trafimy i w jakim nastroju będzie sklepikarz, zawsze jednak zaczniemy właśnie od napojów, by zaraz po nich przejść do wstępnej, niezobowiązującej rozmowy. Za zwyczajową wymianę plotek, tych najbardziej powszechnych, o których wszyscy już wszystko wiedzą, nie zapłacimy nawet grosza. Nagłówki gazet, gorące doniesienia ze świata polityki, pogłoski o romansach celebrytów, wszystko to tratuje się tutaj jako jedynie zagajenie, wstęp do prawdziwej rozmowy o tym, co nas interesuje. No bo ileż można rozmawiać o pogodzie, tzn. narzekać na to, że pada już od dwóch nocy i słońce za nic w świecie nie chce wyjrzeć zza burzowych chmur?

Wreszcie, napiwszy się i poploktowaszy nieco, przechodzimy do sedna, do interesów. I tutaj większość klientów woli zaczynać od tego samego, czyli od odsprzedaży. Wszyscy niemal wolą się najpierw pozbyć tego, co im zalega w kieszeni, a być może i co sprowadza na nich niechcianą uwagę, przez co są ścigani albo wręcz co sprawia, że podlegają jakiejś klątwie. Powiada się, że każdą klątwę w mieście można zdjąć, odsprzedając ją Mallardowi.

Kaczeniec z uwagą ogląda to, co jego klienci mu przynoszą – łup uzyskany od pokonanych wrogów i zebrany w ich sekretnych bazach, tajemnicze przesyłki znalezione w skrytce pocztowej, cenne cacuszka wypatrzone na targu rupieci i kupione za grosze i te otrzymane w spadku po ciotce, o której nigdy wcześniej nie słyszeliśmy. Oczywiście nie kupuje się tu przedmiotów banalnych, pospolitych. Kolejny zdjęty z szeregowego sługusa pancerz i kastet z byle bandziora nie znajdą tu swojego nabywcy. Ale za to przedmioty, których nie chce odkupić nikt inny, unikaty, relikty i artefakty, one owszem, zostaną dodane do kolekcji kaczeńca, a sprzedający uzyska za nie bardzo uczciwą cenę, a może nawet będzie potem spał spokojniej, wiedząc że te smocze bransolety z litego złota, które zdjął z przegubów demonicznego jaszczurca-kapłana są teraz w dobrych rękach.

Po odsprzedaży, gdy nasze kieszenie robią się jakby cięższe, nasz humor nieco lepszy, a i sam Mallard spogląda na nas nieco bardziej przychylnym okiem (zwłaszcza jeżeli przekazaliśmy mu właśnie coś, co autentycznie mu się spodobało), przy-

chodzi czas, by zaraz te dopiero co zdobyte pieniądze wydać na ulepszenia, nowy sprzęt, przedmioty lecz̨ące i uzupełnienie zapasów amunicji, a być może nawet na coś większego i bardziej szalonego. I tu mamy dwie zasadnicze opcje, tj. zagadnięcie Mallarda bądź o dobra materialne, bądź niematerialne. Możemy się, rzecz jasna, też samemu rozejrzeć po sklepiku i spróbować coś wypatrzeć, ale bystry kaczeniec i tak podchwyci nasz wzrok, bezbłędnie zinterpretuje, co nas zaintrygowało, od razu zdejmie to z półki i zacznie nam o tym opowiadać tym swoim beznamiętnym, dystyngowanym tonem, który w mig sprawi, że poczujemy się jakbyśmy rozmawiali co najmniej z konsjerżem w pięciogwiazdkowym hotelu zachwalającym nam nasz apartament, a nie z ulicznym sklepikarzem.

O tak, umie Mallard opowiadać o swoich produktach i je zachwalać. Widzicie, istnieją tacy handlarze bronią, którzy opowiedzą wam wszystko o każdym pistolecie i każdej strzelbie, jaką mogą wam tylko sprzedać – nazwa producenta, rok produkcji, kraj pochodzenia, rodzaj i kaliber amunicji, tworzywo wykonania, akcesoria, tempo i siła wystrzeliwanych pocisków, nawet detale co do wykończenia. Znacie ten typ. Podobnie istnieją wyszkoleni sprzedawcy win, eksperci od etykiety co do handlu biżuterią, wykwintni krawcy zręcznie omawiający swoją pracę i pełni kurtuazji kelnerzy znający na pamięć kartę dań. Wyższa socjeta, jak się wydaje, wykształciła sobie całą osobną klasę tych, których zawód wymaga od nich wysoce wyspecjalizowanej wiedzy i bezbłędnego wychowania tylko po to, by mogli oni owej wyższej socjecie sprzedawać swoje produkty z najwyższej półki.

Mallard jest trochę jak ci wszyscy wyżej opisani, z tym, że on znać się musi po części na wszystkim, no i przed nikim w pas się nie kłania. Każdy jeden przedmiot, który ma u siebie w asortymencie traktuje z takim samym szacunkiem, co czasem może wydawać się komiczne, gdy jakiś byle plastikowy bibelot z marginalnie ciekawą historią omawia równie pieczołowicie, szczegółowo i solennie co świętą broń zdolną do zabijania bogów. Taki już jednak jest – dla niego nawet najmniejszy gadżet jest godny uwagi, i być może to właśnie czyni go najbardziej nietuzinkowym handlarzem w całym mieście.

By zacytować go chociaż raz, w ramach nieco bardziej szczegółowego przykładu:

„A więc interesuje pana mikrokomputer do szybkiego i sprawnego łamania zabezpieczeń urządzeń należących do złoczyńców, dobrze rozumiem? Czy jest pan już zaznajomiony z tego typu sprzętem, czy też szukamy czegoś bardziej podstawowego? Ależ oczywiście. W takim razie pozwolę sobie polecić szanownemu panu ten oto mikrokomputer DeAnza McEnery Black 5120. To masowa produkcja, rzecz jasna, ze średniej półki cenowej. Ten konkretnie model został wyprodukowany przez zakłady należące do spółki Fremont w południowej dzielnicy miasta, ok. dwa cykle księżycowe temu. Obudowa z czarnego i białego plastiku jest produkcji lokalnej, natomiast elektronika pochodzi z importu. Ekran, jak pan widzi, to fabryczny standard – czterocalowy, z solidnym podświetleniem od Iwin Technologies i dwustupięćdziesięcioszesciokolorową paletą barw. Osobiście nie widzę problemów w monochromii, zwłaszcza przy zastosowaniach technicznych dodatkowe kolory moim skromnym zdaniem rozpraszają tylko użytkownika, ale producenci najwyraźniej byli innego zdania. Tak czy inaczej nas interesują zapewne bardziej wnętrzności, a te tu są... nietuzinkowe. Jak pan widzi na spodzie, plomby gwarancyjne zostały złamane. Poprzedni właściciel, o którym powiedzieć mogę tylko, że obecnie przebywa w zakładzie karnym w związku z podejrzeniami o kradzież dużych sum pieniędzy z kont bankowych członków szczurowczej Omerty za pomocą tego właśnie urządzenia, dokonał w nim kilku, powiedzmy, poprawek. Szczegóły pozostawiam szanownemu panu do odkrycia, dodam jednak od siebie, że w tym konkretnie urządzeniu poprzedni właściciel dorzucił eksperymentalny układ scalony, któremu się przyjrzawszy nadal nie wiem do końca, jak on działa. Odkryłem jedynie tyle, że zdaje się łączyć z jakąś zewnętrzną bazą danych i przesyłać na szerokopasmowym łączu duże ilości informacji o sygnaturze podobnej do tej z serwerów bankowych. Skąd znam sygnaturę informacji na serwerach bankowych? O tym może innym razem, jeśli pan pozwoli. Więc jak, zdecydował się pan na kupno? W jakiej cenie? Uraził mnie pan, doprawdy. Sprzedam go oczywiście w cenie rynkowej, takiej, jak za nowe urządzenie tej klasy. Nie wezmę nawet grosza więcej. Bardzo mnie to cieszy. Zapakować? Rozumiem. A czy może będzie pan szanowny zainteresowany nabyciem również tego oto zestawu do parzenia kawy? Czemu akurat o nim pomyślałem? Już tłumaczę. Otóż, jak pan zapewne widzi...”.

To oczywiście tylko jeden z przykładów, i to stosunkowo krótki. Mallard naprawdę potrafi opowiadać o swoich przedmiotach całymi godzinami i czasem zdarza się, że trzeba mu wyraźnie przerwać te jego wywody, by mu dać znać, że zdecydowaliśmy się na zakup już dobre dziesięć minut temu.

Co innego, jeżeli chodzi o handel informacjami. Jak rozumie się to samo przez się, informacje z samej swej natury opisywane mogą być co najwyżej półgębkiem, okrągłymi słówkami, od niechcenia, sugestią zaledwie, bo jeśli powiemy za dużo – krach! i cała magia przepadła a to, co chcieliśmy sprzedać, wypadło nam właśnie z naszych własnych rąk, i to zupełnie za darmo! I dlatego nawet Mallard nie jest wolny od klasycznych konwencji, mimo tego, że uważa je za trochę poniżej jego godności – koniec końców wymiana informacji i tak odbędzie się zgodnie ze starymi jak świat, niespisanymi regułami.

„Panie Mallardzie, a słyszał pan coś o tym nowym złoczyńcy, Białym Borsuku?" zapytamy niby bez zainteresowania, albo może „A co pan myśli o tym, co się stało cztery godziny temu w dokach?", albo też „Są jakieś nowe wieści o tej tam hrabiance, która ostatnio zaginęła?". A Mallard nam na to odpowie: „Być może tak, a być może nie", albo „Cóż, musiałbym sprawdzić, nie pamiętam w tej chwili dokładnie", czy też może „A skąd taki skromny sklepikarz jak ja mógłby to wiedzieć?". Na to my odpowiemy oczywiście: „A może to odświeży panu pamięć?" lub „A co pan powie na to?" bądź przypuszczalnie „Tu mam jeszcze dla pana taką skromną darowiznę...". Potem nastąpi ukradkowe przekazanie banknotu od dużym nominalne (albo nawet kilku), a gdy pochylimy się do przodu, by mogło się to dokonać, dziób kaczeńca powędruje do naszego ucha i zacznie się szeptanie sekretów. Z reguły nikt nie podsłuchuje, nikogo nie ma nawet w pobliżu, ale przecież przeciwko tak starodawnej tradycji jak szeptanie sekretów na ucho się nie występuje, nieprawdaż?

No i w ten sposób dowiemy się tego, czego dowiedzieć się chcieliśmy, czy chodziło o Białego Borsuka, czy strzelaninę w dokach, czy zaginioną hrabiankę, czy też w którym obskurnym antykwariacie można znaleźć szczególnie rzadki biały kruk (o ile sam Mallard nie ma go u siebie na składzie), kto jest głównym podejrzanym policji w sprawie o morderstwo w rezydencji na prowincji, jakie szemrane plany ma wobec miasta jedna z zagranicznych korporacji, co znamienity mistrz kuchni z modnej

dzielnicy dodaje do swojego słynnego rosołu że aż tak on wszystkim smakuje, co wydarzy się za tydzień w najnowszym odcinku kultowej opery mydlanej, kiedy mniej-więcej słynny pisarz skończy pisać swoją najnowszą książkę, czy też o milion innych tego typu rzeczy. A jeżeli Mallard nawet czegoś w danej chwili nie wie, to zawsze obiecuje, że zadzwoni do swoich informatorów i popyta na mieście. Niewiele jest takich informacji, których nie jest w stanie zdobyć, zwłaszcza zmotywowany odpowiednią ilością szeleszczących banknotów. W końcu to biznes jak każdy inny, prawda?

Jest jeszcze czwarta, ostatnia warta wspomnienia opcja, obok odsprzedaży, zakupów sprzętu i informacji (o chwili wytchnienia i łyku w miarę smacznej herbaty nie wspominając). Jedną jeszcze ciekawą rzeczą, którą Mallard robi ze swoimi klientami, zazwyczaj raczej z tymi o bardziej heroicznym usposobieniu, jest to, że wręcza im różne mniejsze lub większe zlecenia. Herosi uwielbiają wypełniać zlecenia, misje nadają ich życiu cel i dają im poczucie spełnienia, nawet te najprostsze, polegające na przeniesieniu jakiegoś zwykłego klamota z punktu A do punktu B albo zebraniu dziesięciu gratów określonego rodzaju. Zdarza się, że biegają po całym mieście jak głupi, a później w nagrodę nie dostają nawet żadnej zapłaty, jedynie grzecznościowe „Bóg zapłać!" i coś tak zupełnie niewymiernego, jak pozytywna reputacja. A mimo to oni wprost kochają to robić, a Mallard potrafi to wykorzystać.

Jest np. takie zadanie, które z ochotą zleca wszystkim tym, którzy dopiero się z nim zapoznali i muszą sobie zapracować na jego szacunek. Chodzi, mianowicie, o jedzenie.

Aż dziwne, że do tej pory nie wspomniano tu o zwyczajach żywieniowych kaczeńca, ma to jednak swoje uzasadnienie w tym właśnie, że jest on w nich niemal całkowicie zależny od swojej klienteli. Posiada co prawda skromnych rozmiarów lodóweczkę w której trzyma kilka podstawowych składników i zamrożone dania w postaci wyrobów garmażeryjnych, ale jest to dla niego opcja kryzysowa, z której nigdy chyba jeszcze nie musiał korzystać, bo chyba niczego tak nie nienawidzi, jak gotowania. Nie znosi go bardziej nawet, niż jedzenia rodzynek i sprzedawania butów. Zamiast tego preferuje dania przygotowywane mu przez innych, a że nigdy nie rusza się ze swojego sklepiku, oznacza to zawsze dania na wynos.

Jego szczególna preferencja to posiłki kuchni orientalnej przygotowywane specjalnie dla niego przez pewnego szczurowca, szefa kuchni i zarazem właściciela restauracji mieszczącej się w biegnącym całkiem nieopodal kanale burzowym. Ów szczurowiec, również uznany mistrz w swoim fachu, jest wieloletnim przyjacielem Mallarda i choć od lat nie widzieli się twarzą w twarz, bo każdy jest zbyt zajęty w swoim miejscu pracy, to często prowadzą długie rozmowy telefoniczne.

To jednak opowieść na inną okazję. W tym miejscu wątek ten pojawia się jedynie dlatego, że zadaniem które Mallard najczęściej zleca swoim początkującym klientom jest przyniesienie mu jedzenia na wynos właśnie z owej konkretnej restauracji, rzadko z jakiejś innej, na którą akurat ma ochotę. W ten sposób jest on regularnie zaopatrywany w swoje ulubione jedzenie, a dzielni bohaterowie mogą zaskarbić sobie jego łaski, nawet jeśli po drodze na chwilę stają się niczym więcej, jak tylko rozwozicielami jedzenia.

Dla bardziej zaawansowanych klientów Mallard ma bardziej zaawansowane zadania. Zaczyna się od dostarczania różnych rzadkich artefaktów do odbiorców którzy z różnych powodów nie mogli stawić się w sklepiku osobiście, a przygód jest z tym z reguły co niemiara, bo wiadomo, że gdy tylko opuścimy starą rynnę inni będą chcieli od nas przejąć to, co właśnie niesiemy, bądź by wypełnić naszą misję za nas, bądź by najzwyczajniej w świecie zdobyć to coś dla siebie.

Potem przechodzi się do zdobywania dla Mallarda informacji, których nie może on pozyskać innymi kanałami, a więc do infiltrowania baz złoczyńców, zakładania podsłuchów, przepytywania świadków i szukania tajnych akt, o ile te nie zostały jeszcze zniszczone. Z tym również zabawy jest w bród.

Wreszcie jest też i najwyższy szczebel, który dostępny jest tylko tym, którym Mallard ufa niemal bezgranicznie, jego najwierniejszym współpracownikom, a to dlatego, że wymaga to od niego, by przekazał swoim powiernikom niezwykle cenne informacje. Chodzi, otóż, o poszukiwanie i odzyskiwanie różnego rodzaju skarbów, które Mallard mógłby dodać do swojej kolekcji. Czy znajdują się one w jakiejś zapomnianej przez bogów świątyni w sercu dżungli dziesiątki olbrzymich mil od granic miasta, czy w najniższym poziomie kanałów, czy w ponurych pustostanach, gdzie błąkają się jedynie te biedne istoty, które zachorowały na wściekliznę, zawsze znajdzie się ktoś na tyle szalony, by chcieć je odnaleźć. A gdy już to zrobi, gdy ociekając

potem i krwią pokonanych wrogów, będąc na skraju wyczerpania, po wielu godzinach przemierzania olbrzymich, strasznych lochów uniesie w górę z kamiennego piedestału jakiś zakurzony pyłem dziejów złoty róg albo inny starożytny wałek do ciasta, gdy uniknie obowiązkowej rozpędzonej kamiennej kuli staczającej się za nim majestatycznie z sufitu i przemierzy nocą miasto pełne bandziorów chcących mu ten skarb wyszarpać za wszelką cenę, gdy dotrze do starej rynny, podejdzie kierowany światłem zielonego neonu do lady sklepiku i położy na niej swoją zdobycz – wtedy Mallard powita go jak prawdziwego króla. „Cokolwiek chcesz ode mnie, możesz to wziąć", powie mu robiąc ten rzadki wyjątek i uśmiechając się w pełni, od jednego skrytego pod piórami ucha do drugiego. „Dziś wieczór ja stawiam. Spisałeś się dzielnie, mój druhu".

A gdy ów śmiałek już sobie odzipnie w spokoju, zbierze siły, posili się przednim trunkiem, a być może i jednym z tych orientalnych dań od zaprzyjaźnionego z kaczeńcem szczurowca, gdy wybierze sobie w nagrodę jakieś lśniące cacko i pożegna się z Mallardem serdecznie, wtedy sklepikarz weźmie w swoje dłonie swoją nową zdobycz, obejrzy ją uważnie i skataloguje w swoim umyśle. Potem zaś odłoży ją do stosowanej przegródki, gdzie będzie w spokoju czekała na to, aż znajdzie się klient, który pozna się na jej wartości i poprosi, by kaczeniec zdjął ją dla niego z półki. Wtedy Mallard posłusznym gestem wykona o co go poproszono i zacznie omawiać gościowi najmniejsze detale owego skarbu. Zapewne pominie jednak w swojej opowieści rolę tego, który go dla niego zdobył.

Zakończenie

Morał opowieści o sklepikarzu.

Istnieją takie miasta, w których, jak by się zdawało, zawsze panuje noc i deszcz nie przestaje padać całymi latami. Miasta, w których Dobro walczy ze Złem. Miasta wielkich przestępców chcących sprowadzić śmierć na tysiące i skrzywdzić dziesiątki tysięcy i miasta wielkich bohaterów, którzy zawsze w ostatnim ułamku sekundy znajdują jakiś sposób na to, żeby ich powstrzymać. To jednak nie jest opowieść o nich. To jest opowieść o sklepikarzu.

W pewnej starej rynnie nad pewnym wąskim zaułkiem pewien kaczeniec prowadzi swój sklepik, którego jedyną reklamą jest zielony neon w kształcie kaczki widoczny z daleka. Wiedzą o nim jedynie nieliczni i on woli, żeby tak pozostało. Jego życie jest wygodnickie, pełne komfortu – ulubionych dań, ulubionych programów telewizyjnych, kąpieli w ulubionych solach i olejach. Od czasu do czasu sprzeda coś niewiarygodnie cennego, raz na jakiś czas spotka się z kimś niewiarygodnie sławnym, a czasami pozna niewiarygodnie sekretną informację. Jego żywot nie opływa w fascynujące, mrożące krew w żyłach i sprawiające, że serce bije szybciej w piersi przygody, a jest jedynie dla takich właśnie przygód tłem, czymś, co dzieje się jakby obok nich, co czasem się w nich co prawda przewija, ale nigdy nie zajmuje głównego miejsca. I nie jest tak przez przypadek. Poszukiwanie przygód nie jest dla niego wielkim, niespełnionym marzeniem, którego wspomnienie jedynie zasmuca naszą szarą codzienność i tak bardzo boli, gdy wiemy, że nic niezwykłego nam się nie przydarzy. Nie, dla Mallarda przygody są czymś o czym owszem, dobrze się czyta i słyszy, ale czego nie ma po co przeżywać. I choć wielkim podróżnikom, czempionom słusznej sprawy i nikczemnym sługusom zła zda się to zupełnie niepodobnym, jego wygodnictwo i domatorstwo nie są czymś niesłychanym, albo i nieuzasadnionym.

Zabawna to sprawa – choć wśród ogółu społeczeństwa mniejszych ras Mallard nie cieszy się żadną zgoła sławą i jest powszechnie postacią zupełnie nieznaną, rzecz ma się inaczej wśród kamiennych olbrzymów, no a przynajmniej tych spośród nich, których wciągają opowieści o małych superbohaterach. Okazuje się bowiem, że postać tajemniczego kaczeńca-sklepikarza, który raz pomaga protagonistom, a raz wspiera antagonistów, pojawia się stosunkowo często w tych słynnych obrazkowych książeczkach, które ostatnio tylko zyskują na popularności wśród masowej publiki największych na świecie istot rozumnych. Gdyby tylko ktokolwiek z mniejszych ras był tymi książeczkami chociaż pobieżnie zainteresowany i potrafił je przeczytać, sekret od razu na pewno by się wydał i byłoby po sklepiku. To dopiero byłoby niesatysfakcjonujące zakończenie!

W tych książeczkach, o których tu mowa, rysuje się postać Mallarda co prawda z dużym dostojeństwem, wszyscy ją lubią i cieszą się, gdy natrafiają na taki fragment, w którym się ona pojawia, a jednak, jak w rzeczywistości, główni bohatero-

wie tych książeczek nigdy nie zostają u niej na dłużej. A to na stronie dziewiątej kaczeniec zleca im arcyważną misję, którą realizować będą oni przez całą resztę książki, a to na stronie sto osiemnastej podpowiada im, gdzie należy się dalej udać, a to na stronie trzysta dwudziestej trzeciej, w enigmatycznym epilogu, spotyka się z mroczną figurą będącą głównym przeciwnikiem naszych herosów w następnym tomie. I tak Mallard zawsze jest tylko tłem dla innych historii, a nie historią samą w sobie.

W tym zresztą rzecz cała. Zaprawdę – faktem nie bez znaczenia jest ten właśnie, że nie istnieje aż do dziś żadna taka książeczka, która poświęcona byłaby w całości samemu tylko Mallardowi. A dlaczego nie? Czyżby Mallard byłby ciekawy jedynie czysto instrumentalnie, tzn. tak długo, jak długo jest użyteczny dla swoich klientów? Czy jego życie, choć nie tak ekscytujące jak ich, nie jest jednak równie bogate w detale, złożone i pokomplikowane? Czy gdy odwrócą oni od niego swój wzrok i odejdą w swoją stronę, on przestaje istnieć?

Oczywiście, że nie. Nie o to tu chodzi. Po prostu, jest prawdą starą jak świat, że antropologiczne analizy, choćby nie wiem jak przenikliwe, ustąpić muszą miejsca utworom awanturniczym, gdyż to właśnie ku nim, ku przygodzie, ku intrydze, ku akcji naturalnie, z siłą jakby grawitacyjną, kieruje się nasza uwaga. Co wszak nie oznacza, że nie można byłoby jednak, czysto teoretycznie, taką książeczkę wydać. Nic nie stoi na przeszkodzie – „papier przyjmie wszystko", jak to mawiają. Dla wydawców i redaktorów prawdziwe pytanie brzmi jednak: czy znaleźliby się na tym starym świecie tacy, którzy chcieliby ją czytać?